



Tove Jansson

Opowiadania
z Doliny Muminków







Tove Jansson

Opowiadania z Doliny Muminków

Przełożyła
Irena Szuch-Wyszomirska



NASZA KSIĘGARNIA

© Tove Jansson 1962

Published by Schildts Förlags Ab, Finland.

All rights reserved

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo
„Nasza Księgarnia”, Warszawa 1968

Tytuł oryginału szwedzkiego

Det osynliga barnet och andra berättelser

Projekt okładki: **Mirosław Tokarczyk**

www.nk.com.pl



WIOSENNĄ PIOSENKA

W pewien pogodny i bezchmurny wieczór w końcu kwietnia Włóczykij zaszedł tak daleko na północ, że na stokach skał, po ich północnej stronie, leżały jeszcze łąty śniegu.

Wędrował cały dzień przez niezbadane okolice, co rusz słysząc nad sobą nawoływanie przelotnych ptaków.

Również i one wracały z południa w rodzinne strony.

Szło mu się łatwo, plecak był niemal pusty, a trosk nie miał żadnych. Cieszył się lasem, pogodą i sobą samym.

Teraz, kiedy jasnoczerwone słońce świeciło między brzozaami, a powietrze było rześkie i łagodne, dzień wczorajszy i jutrzejszy wydawały mu się równie odległe.

„To jest wieczór na piosenkę - pomyślał Włóczykij. - Na nową piosenkę, która składać się będzie w jednej części z nadziei, w dwóch z wiosennej tęsknoty, a jej resztę stanowić będzie niewypowiedziany zachwyt, że mogę wędrować, że mogę być sam i że jest mi ze sobą dobrze”.

Melodię tę nosił pod kapeluszem od wielu dni, ale nie miał jeszcze odwagi jej wydobyć. Trzeba było poczekać, aż wyrośnie, aż stanie się radosnym przekonaniem, że gdy tylko Włóczykij dotknie wargami harmonijki, wszystkie dźwięki wskoczą na właściwe miejsce.

Jeśli wydobyłby ją za wcześnie, mogłoby się zdarzyć, iż przekorne dźwięki ułożyłyby się w piosenkę tylko w połowie dobrą lub że mógłby je pogubić i nigdy już nie potrafiłby uchwycić ich we właściwy sposób. Melodie to sprawy poważne, szczególnie jeśli mają być wesole i zarazem rzewne.

Lecz tego wieczoru Włóczykij czuł się pewny swojej piosenki. Istniała już, była niemal gotowa

- zdecydowanie lepsza od wszystkich, jakie kiedykolwiek wymyślił.

Kiedy dojdzie do Doliny Muminków, zagra ją, siedząc na poręczy mostu, a Muminek powie zaraz, że jest piękna. Że jest niezwykle piękna.

Włóczykij przystanął, bo zrobiło mu się trochę przykro. Tak, Muminek, który czekał na niego i okropnie tęsknił. Muminek, który siedział w domu i czekał, i podziwiał go, i zawsze mu mówił:

„Naturalnie, musisz być wolny. Jasne, że musisz wyruszyć w drogę. Oczywiście, rozumiem - czasem musisz być sam”.

Jednocześnie oczy Muminka robiły się chmurne z rozczarowania i bezradnej tęsknoty.

- Oj, oj - powiedział Włóczykij, podejmując wędrówkę. - Ojoj. Tyle jest uczuć w tym Muminku. Ale nie będę teraz o nim myślał. Dziś wieczorem jestem sam z moją melodią, a dzisiejszy wieczór to nie jutro.

I po chwili udało się Włóczykijowi zupełnie zapomnieć o Muminku. Węszył za dobrym miejscem na rozbicie namiotu, a kiedy w lesie nieopodal usłyszał szmer strumyka, zaraz ruszył w tamtą stronę.

Ostatni czerwony promień słońca zgasł między pniami - nadchodził wiosenny zmierzch, powolny i błękitny. Cały las był błękitny, a brzozy, jak ogromne białe kolumny, wędrowały coraz głębiej i głębiej w mrok.

To był dobry strumyk.

Przejrzysty i brązowy, tańczył przez warstwy zeszlorocznych liści i resztki tuneli lodowych, skręcał w mech, pikował w dół małym wodospadem i opadał na białe, piaszczyste dno. Czasem śpiewał w tonacji dur jak komar, to znów starał się grzmieć niby wielki i groźny potok, czasem zaś bulgotał, przepłukując sobie gardło wodą ze stopniałego śniegu, i śmiał się ze wszystkiego.

Włóczykij stał na mokrym mchu i nasłuchiwał.

„W mojej piosence musi być strumyk - pomyślał. - Jako refren”.

W tej samej chwili od progu wodospadu oderwał się kamień i zmienił melodię wody o jedną oktawę.

„To nie było złe - pomyślał Włóczykij z podziwem. - To jest sposób na ułożenie melodii. Gwałtowne zwroty i przejścia. Zastanawiam się, czy moja piosenka nie powinna być piosenką strumyka”.

Wydobył kociołek i napełnił go pod wodospadem. Potem ruszył pod świerki, by poszukać drewna na ogień. Las był mokry od topniejącego śniegu i wiosennych deszczy, więc Włóczykij zmuszony był wpełznąć w gąszcz jeżyn, aby znaleźć suche patyki. Wyciągnął łapę - i w tym samym momencie ktoś krzyknął, przemknął pod świerkami i jeszcze dłuższą chwilę słychać było ów głos, zanikający w głębi lasu.

„Tak, tak - mruknął Włóczykij do siebie. - Zwierzątka i drobiazg leśny wszelkiego rodzaju pod każdym krzakiem. To się wie. Dziwne, że toto zawsze takie nerwowe. Im mniejsze, tym bardziej narwane”.

Wyciągnął suchą szczapę i nieco drobnych gałęzi i spokojnie zbudował ognisko u zakrętu strumyka. Ogień, jako że ognisko zrobione było umiejętnie, chwycił natychmiast; Włóczykij bowiem przyzwyczajony był gotować sobie obiady sam. Nigdy, jeśli nie był do tego zmuszony, nie gotował obiadu komuś innemu i zarazem obiady innych niewiele go obchodziły. Wszyscy upierali się zawsze, żeby rozmawiać przy jedzeniu.

Mieli też słabość do krzesel i stołów, a w najcięższych przypadkach używali serwetek. Słyszał nawet o pewnym

Paszczaku, który za każdym razem przebierał się do jedzenia, lecz była to zapewne tylko złośliwa plotka.

Włóczykij jadł swoją cienką zupę i w zamyśleniu popatrywał na ziemię pod brzożami, całą okrytą mchem.

Melodia była teraz bardzo blisko, wystarczyło ją złapać za ogon. Ale Włóczykij miał czas - melodia była otoczona i nie mogła uciec. Wpierw należało zmyć naczynia, potem zapalić fajkę i wówczas - gdy ogień będzie przygasał, a nocne zwierzęta zaczną się nawoływać w lesie - dopiero wówczas przyjdzie pora piosenki.

W chwili gdy zbierał się do płukania kociołka w strumyku, spostrzegł to stworzonko. Siedziało pod korzeniem po drugiej stronie wody i patrzyło na niego spod zmierzwionej grzywki.

Było najwyraźniej przestraszone, lecz jednocześnie jego oczy z ogromnym napięciem i zaciekawieniem śledziły każdy ruch Włóczykija.

Para nieśmiałych oczu pod strzechą włosów: tak właśnie wyglądają ci, z którymi nikt się nie liczy.

Włóczykij udał, że nie zauważył stworzonka. Zgarnął ognisko i naciął jedliny, aby mieć na czym usiąść.



Wydobył fajkę i zapaliwszy niespiesznie, wydmuchiwał w nocne niebo obłoczki dymu i czekał na swoją wiosenną piosenkę.

Ale piosenka nie przychodziła. Czuł natomiast oczy stworzonka - śledziły go, podziwiała każdy jego ruch, wszystko, co robił - i Włóczykij poczuł, że wzbiera w nim niechęć.

Klasnął więc w łapki i zawołał:

- A sio!

Ale wówczas stworzonko wypłynęło spod korzeni i rzekło bardzo nieśmiało:

- Mam nadzieję, że się nie przestraszyłeś? Ja wiem, kto ty jesteś. Jesteś Włóczykij.

Po czym stworzonko zeszło wprost do strumienia, by przejść w bród. Lecz strumyk był za duży dla tak małego stworzenia, a woda była lodowato zimna. Traciło grunt pod nogami i przewracało się, a jednak Włóczykijowi, pełnemu niechęci, nie przyszło do głowy, aby mu pomóc.

W końcu coś żalnego i cienkiego jak nitka wdrapało się na piaszczysty brzeg i, dzwoniąc zębami, powiedziało:

- Hej! Taki jestem szczęśliwy, że cię spotkałem.

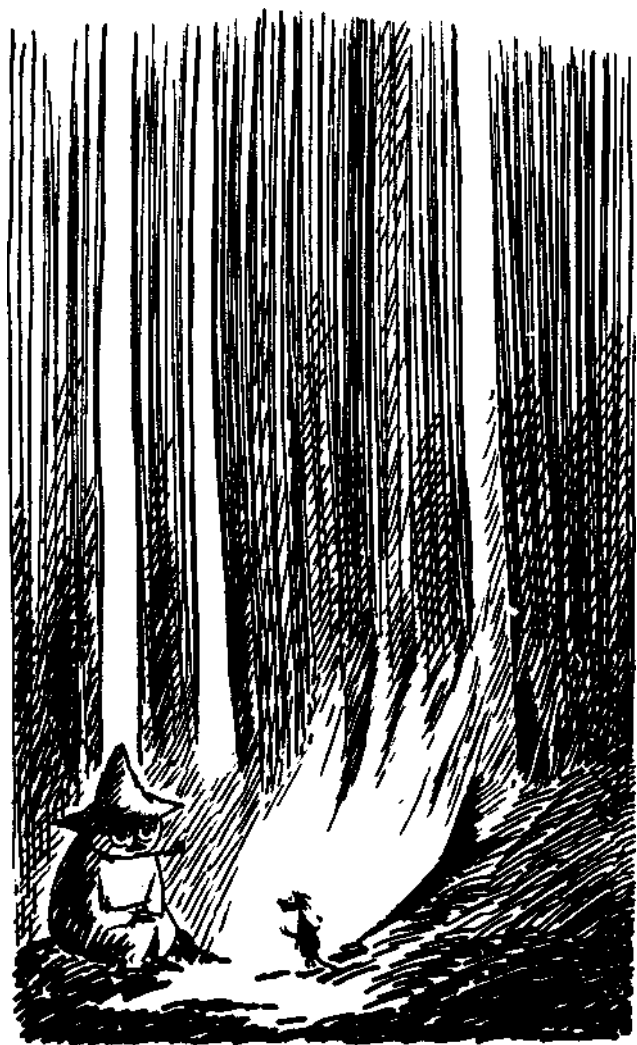
- Hej! - odpowiedział Włóczykij chłodno.

- Czy mogę ogrzać się przy twoim ognisku? - mówiło dalej stworzonko, a jego mokra twarz promieniała. - Pomysł, będę tym, który siedział przy ognisku Włóczykija. Nie zapomnę tego nigdy, nigdy, przez całe życie.

Stworzonko przysunęło się nieco bliżej, położyło wątlą łapkę na plecaku i spytało uroczystym szeptem:

- To tutaj masz harmonijkę? Ona jest w środku?

- Tak - odpowiedział Włóczykij dość oschle. Jego samotna melodia znikła i cały nastrój prysł. Ścisnął zębami cybuch fajki i wbił spojrzenie między brzozy, nie widząc ich.



- Nie przeszkadzaj sobie - zawołało stworzonko - jeśli chcesz grać. Nie masz pojęcia, jak tęsknię za muzyką. Nigdy nie słyszałem muzyki. Ale o tobie słyszałem. Jeź, myszka i moja mama opowiadali mi o tobie... Myszka nawet cię widziała! Nie masz pojęcia... tu się tak niewiele dzieje... A my tak dużo marzymy...

- No, a jak ty się nazywasz? - spytał Włóczykij. Wieczór i tak był popsuty, uważał więc, że już lepiej będzie porozmawiać.

- Jestem tak mały, że się nie nazywam. Nie mam imienia - odpowiedziało stworzonko z przejęciem. - Zresztą nikt mnie o to nigdy przedtem nie zapytał. I przychodzisz ty, o którym tyle słyszałem, którego tak bardzo pragnąłem zobaczyć, i pytasz, jak się nazywam. Czy sądzisz - o, gdybyś tak mógł, pomyśl - to jest, chciałem powiedzieć, czy sprawiłoby ci to wiele trudu, gdybyś mi wymyślił imię, które byłoby tylko moje i niczyje więcej? Teraz, dzisiaj wieczorem?

Włóczykij mruknął coś i naciągnął kapelusz na oczy. Ktoś o długich, spiczastych skrzydłach przeleciał nad strumieniem, wołając żałośnie: Ju-juu, ju-juu, ti-uu...

- Nigdy nie jest się zupełnie wolnym, jeśli się kogoś za bardzo podziwia - powiedział Włóczykij. - To wiem.

- Wiem, że ty wszystko wiesz - mówiło dalej stworzonko, przysuwając się bliżej. - Wiem, że wszystko widziałeś. Wszystko, co mówisz, jest słuszne, i zawsze będę się starał być równie wolny jak ty. I wiem, że teraz pójdziesz do domu, do Doliny Muminków, wypoczniesz i spotkasz znajomych... Jeż mówił, że kiedy Muminek obudził się ze snu zimowego, zaraz zaczął tęsknić za tobą... Czy to nie przyjemnie mieć kogoś, kto chodzi i tęskni, i czeka, i czeka?

- Przyjdę, kiedy mi się będzie podobało - przerwał Włóczykij gwałtownie. - Może wcale nie przyjdę. Może pójde w zupełnie inną stronę.

- Ach! To on się bardzo zmartwi - powiedziało stworzonko.

Jego futerko zaczęło już schnąć w ciepłe i z przodu zrobiło się jasnobrązowe i miękkie. Stworzonko znów dotknęło plecaka i spytało ostrożnie:

- Może byś... Tyle podróżowałaś...

- Nie - odpowiedział Włóczykij. - Nie teraz. - I pomyślał rozgoryczony: „Dlaczego nie pozwolą mi nigdy

zachować moich wspomnień o wędrownkach tylko dla siebie? Czy nie mogą zrozumieć, że gadaniem wszystko niszczą? Jeśli im opowiadam, to potem nic nie zostaje. Pamiętam tylko swoje własne opowiadanie, kiedy staram się przypomnieć sobie, jak było”.

Przez długą chwilę panowała cisza, aż ptak nocny znów zaczął wołać.

Wtedy stworzonko wstało i powiedziało cicho:

- No, to ja chyba w takim razie pójdę do domu. Hej!

- Hej! Hej! - odpowiedział Włóczykij i poruszył się niespokojnie. - Słuchaj! To imię, o którym mówiłeś... Mógłbyś nazywać się: Ti-ti-uu. Ti-ti-uu, rozumiesz,





z wesołym początkiem i z trochę smutnym „u” na końcu.

Stworzonko stało, wlepwszy w niego oczy, lśniące żółto w blasku ognia. Przemysliwało swoje imię, powtarzało, aż w końcu zwróciło pyszczek ku niebu i pisnęło je z takim smutkiem i zachwytem, że Włóczykijowi przeszedł dreszcz po plecach.

Potem brązowy ogonek śmignął między wrzosami i wszystko ucichło.

- Ech... - mruknął Włóczykij i kopnął ognisko.

Skrupulatnie wystukał popiół z fajki. W końcu wstał i zawołał:

- Hej! Wróć no tu!

Ale las milczał.

- No, tak - powiedział Włóczykij sam do siebie. - Nie można przecież wciąż być uprzejmym i towarzyskim. Po prostu nie można nadążyć. Ale dostało przecież imię, więc wszystko w porządku.

Usiadł i słuchał strumyka i ciszy, czekając na swoją melodię. Ale nie wracała. Wiedział od razu, iż odeszła tak daleko, że jej nie uchwyci. Może już nigdy. Jedyne, co miał w głowie, to przejęty i nieśmiały głos stworzonka, które wciąż mówiło, mówiło i mówiło.

- Tacy powinni siedzieć w domu ze swoją mamą - powiedział Włóczykij ze złością i wyciągnął się na jedlinie. Po chwili znowu usiadł i zaczął wołać w głąb lasu.

Długo nasłuchiwał, a potem nasunął kapelusz na twarz, żeby usnąć.

Nazajutrz Włóczykij ruszył dalej. Był zmęczony i w złym humorze. Szedł na północ, nie patrząc ani na prawo, ani na lewo, a pod kapeluszem nie przemykał mu nawet najmniejszy początek jakiejś melodii.

Nie mógł też myśleć o niczym innym, jak tylko o spotkanym wczoraj stworzonku. Pamiętał każde jego

słowo i wszystko, co sam powiedział, i przypominał to sobie raz po raz. Aż zrobiło mu się niedobrze i poczuł się tak wyczerpany, że musiał usiąść.

„Co się ze mną dzieje? - rozważał zły i zakłopotany. - Nigdy jeszcze tak się nie czułem. Pewnie jestem chory”.

Wstał i wolno ruszył naprzód, i znów przypomniał sobie całą historię ze stworzonkiem.

W końcu już dalej tak być nie mogło. Po południu Włóczykij ostatecznie zmienił zamiar i zaczął iść z powrotem.

Po chwili poczuł się lepiej. Szedł coraz prędzej, potem zaczął biec. Małe piosenki latały mu wokół uszu, ale nie miał czasu ich chwycić.

Pod wieczór był znów w brązowym lesie i zaczął wołać:

- Ti-ti-uu! Ti-ti-uu!

Nocne ptaki zbudziły się i odpowiedziały:

- Ti-uu, ti-uu - jednak jego stworzonko się nie odezwało.

Włóczykij chodził tam i z powrotem, szukał i wołał, aż wreszcie zapadł zmierzch. Z polanki zobaczył nów; stał i patrzył nań zupełnie zbity z tropu.

„Powinienem wypowiedzieć jakieś życzenie - pomyślał. - Przecież jest nów”.

I już miał życzyć sobie tego, co zwykle: nowej piosenki albo nowych dróg, lecz szybko zmienił zamiar i powiedział:

- Chcę znaleźć Ti-ti-uu.

Potem obrócił się trzy razy, przebiegł przez polankę, wszedł w głąb lasu i wspiął się na wzgórze. W krzakach coś zaszeleściło, coś jasnobrazowego i puszystego.

- Ti-ti-uu! - zawołał Włóczykij cicho. - Wróciłem, żeby z tobą pomówić.

- O, hej - powiedział Ti-ti-uu, wyłaniając się z krzaków. - Bardzo dobrze, że jesteś. Będę ci mógł pokazać, co zrobiłem. Tabliczkę z imieniem! Spójrz! Moje własne nowe imię! Zawieś na drzwiach, kiedy będę miał własne, nowe mieszkanie!

I stworzonko pokazało mu kawałek kory z wyciętym imieniem, i mówiło dalej z przejęciem:

- Ładna, prawda? Wszyscy ją podziwiali.

- Wspaniała! - odpowiedział Włóczykij. - I będziesz miał własne mieszkanie?

- Jasne! - mówiło stworzonko rozpromienione. - Tymczasem wyprowadziłem się ze starego mieszkania

i zacząłem żyć na dobre! To takie emocjonujące! Kiedy nie miałem imienia, rozumiesz, biegałem tylko i najwyżej przeczuwałem to czy owo na temat tego czy owego, a wydarzenia trzepotały wokół mnie; czasem były niebezpieczne, czasem nie, ale nic nie było prawdziwe, rozumiesz?

Włóczykij usiłował coś powiedzieć, ale stworzonko mówiło dalej:

- Teraz jestem osobą, która należy do siebie, i wszystko, co się dzieje, ma znaczenie. Nie dzieje się bowiem „w ogóle”, ale wydarza się mnie, Ti-ti-uu. A Ti-ti-uu patrzy na sprawy tak albo inaczej - rozumiesz, co mam na myśli.

- Jasne, że cię rozumiem - odpowiedział Włóczykij. - Bardzo dobrze.

Ti-ti-uu kiwnął potakująco głową, po czym zaczął czegoś szukać w krzakach.

- Wiesz co - powiedział Włóczykij. - Ja w każdym razie pójde odwiedzić Muminka. Coś mi się zdaje, że trochę tęsknię za nim.

- Aha - powiedział Ti-ti-uu z roztargnieniem.

- Więc jeśli masz ochotę, mógłbym ci teraz trochę pograć - mówił Włóczykij dalej. - Albo opowiedzieć jakąś historyjkę.

Stworzonko wytknęło głowę z krzaków.

- Historyjkę? - zapytało. - Ach, tak, oczywiście. Może wieczorem. Wybacz mi, ale teraz nie mam zbyt dużo wolnego czasu...

Jasnobrązowy ogonek znikł na chwilę w zaroślach, po czym nieco dalej ukazały się uszy Ti-ti-uu, który wesoło zawołał:

- Hej! I pozdrów Muminka! Muszę się śpieszyć i żyć - tyle czasu zmarnowałem!

I w jednej chwili znikł.

Włóczykij podrapał się po głowie.

- A więc to tak - powiedział. - Tak.

Wyciągnął się na mchu i patrzył w wiosenne niebo - błękitne prosto nad nim i zielone jak morze nad wierzchołkami drzew. Czuł, jak gdzieś pod kapeluszem zaczyna powstawać jego melodia, ta, która w jednej części ma się składać z nadziei, w dwóch z wiosennej tęsknoty, a jej resztę stanowić będzie niewypowiedziany zachwyty nad samotnością.





STRASZNA HISTORIA

Średni z trzech Homków czołgał się wzdłuż płotu. Chwilami leżał nieruchomo i czujnie wypatrywał wroga przez sztachety, po czym znów czołgał się naprzód. Jego młodszy braciszek posuwał się tuż za nim.

Kiedy Homek dotarł do warzywnika, rozciągnął się płasko na brzuchu i wpełzł między główki sałaty. Była to jedyna możliwość. Wróg wszędzie rozestał swych zwiadowców, a część z nich fruwała w powietrzu.

- Cały jestem czarny - poskarżył się braciszek.

- Cicho - szepnął Homek - jeżeli chcesz żyć. A czego się spodziewałeś? Że w tropikalnych błotach zrobisz się niebieski?

- To przecież sałata - powiedział braciszek.

- Zobaczysz: prędko staniesz się dorosły, jeżeli będziesz taki - rzekł Homek. - Będziesz jak tatuś i mamusia, i dobrze ci tak. Będziesz widział i słyszał w zwykły sposób, a to znaczy, że nic nie będziesz widział ani słyszał, tak to się skończy.

- Mhm - mruknął braciszek pojednawczo i zaczął jeść ziemię.

- Ziemia jest zatruta - ostrzegł go Homek krótko. - Wszystkie owoce, które rosną w tym kraju, są zatrute. No tak, spostrzegli nas, i to przez ciebie.

Dwaj zwiadowcy śmignęli ponad grządkami groszku, ale Homek szybko ich zestrzelił. Dysząc z napięcia i wysiłku, zsunął się do rowu i siedział cicho jak żaba. Nasłuchiwał tak pilnie, aż drżały mu uszy i głowa go rozboleła. Pozostali zwiadowcy zachowywali się cicho, lecz zbliżali się z wolna, pełną w trawie. W trawie prerii. A było ich niezliczone mnóstwo.

- Słuchaj - odezwał się braciszek ze skraju rowu - chcę iść do domu.



- Nigdy już nie wrócisz do domu - powiedział jego brat ponuro. - Kości twoje zbieleją na prerii, tatuś i mamusia będą płakać, aż utoną we łzach, a z ciebie nie zostanie nic, w ogóle nic, może tylko tyle, żeby kojoty miały nad czym wyc.

Braciszek otworzył usta, nabrał powietrza i zaczął krzyczeć.

Posłuchawszy chwilę, Homek uznał, że jest to krzyk, który może trwać długo. Zostawił więc młodszego braciszka w spokoju i zaczął dalej pełznąć rowem. Całkowicie stracił z oczu pozycje wroga i nie wiedział już nawet, jak wróg wygląda.

W sytuacji niewątpliwie krytycznej poczuł się zdradzony i pomyślał z żalem: „Chciałbym, żeby na



świecie w ogóle nie było młodszych braciszków. Żeby się rodzieli więksi, albo wcale. Nic nie wiedzą o wojnie. Powinno się ich trzymać w szufladzie, aż zaczną cokolwiek rozumieć”.

W rowie było mokro, więc Homek wstał i zaczął brodzić. Był to szeroki, długi rów i Homek postanowił odkryć biegun południowy; szedł coraz dalej i dalej, coraz bardziej zmęczony, zapasy wody i żywności były na ukończeniu, a do tego wszystkiego został jeszcze pogrzyziony przez białego niedźwiedzia polarnego.

Wreszcie rów się skończył, ginąc w ziemi, i Homek odkrył biegun południowy całkiem dla siebie.

Wyszedł na bagnisko.

Było szare i ciemnozielone, a tu i ówdzie błyskała czarna woda. Dookoła niczym śnieg bielili się wełnianka i unosił się zapach pleśni.

„Nie wolno wchodzić na bagno - pomyślał Homek. - Małym Homkom nie wolno, a duże tu nigdy nie przychodzą. Ale nikt poza mną nie wie, dlaczego tu jest niebezpiecznie... Bo późną nocą przejeżdża tędy wielki wóz-widmo na ciężkich kołach. Z daleka słychać, jak turkocze, ale nie wiadomo, kto nim powozi...”

- Nie! - zawołał Homek i wzdrygnął się. Nagle ogarnął go lęk, szedł od żołądka w górę. Dopiero co nie było żadnego wozu, nikt nigdy o nim nie słyszał. Ale gdy wymyślił go sobie, natychmiast stał się rzeczywistością. Był wprawdzie gdzieś daleko, lecz tylko czekał w mroku, żeby się wytoczyć.

- A teraz - powiedział Homek - jestem Homkiem, który szukał swojego domu przez dziesięć lat. I który właśnie w tej chwili poczuł, że jego dom jest w pobliżu.



Zaczął węszyć, aby zorientować się w kierunku wiatru, po czym ruszył naprzód. Myślał o węzach przyczajonych w mule i o żywych grzybach pełznących tuż za nim - aż w końcu naprawdę zaczęły wyrastać gdzieś w trawie.

„Mogłyby zjeść mojego małego braciszka za jednym zamachem - pomyślał. - Może nawet już to zrobiły. Są wszędzie. Obawiam się najgorszego. Ale nie tracę nadziei, że jeszcze mogłaby go ocalić ekspedycja ratunkowa”.

Zaczął biec.

„Biedny braciszek - myślał Homek. - Taki mały i taki głupi. Kiedy go węże dopadną, nie będę już miał braciszka, wtedy ja będę najmłodszy...”.

Szlochał, biegnąc, a włosy miał mokre z przerażenia, gdy wpadł na podwórze i, minąwszy starą drewnianą, wołał na cały głos:

- Mamo! Tatusiu! Braciszek został zjedzony!

Mama Homka była duża i zatroskana, wечно zatroskana. Zerwała się gwałtownie, a groch, który miała w fartuchu, rozsypał się po całej podłodze.

- Co mówisz? - krzyknęła. - Gdzie on jest? Nie mogłeś go przypilnować?





- Ach - odrzekł Homek, gdy już się trochę uspokoił. - Wpadł w dół z mułem na bagnie. I potem zaraz z jakiejś dziury wypełził wąż, owinał się dookoła jego tłustego brzuszka i odgryzł mu nos. Tak. Jestem w rozpacz, ale co mogę zrobić? Węży jest o wiele więcej niż braciszków!

- Wąż?! - krzyknęła mama.

- Uspokój się. On zmyśla. Przekonasz się sama - łagodził tatuś Homka, po czym, żeby nie zacząć się denerwować, szybko wyjrzał na podwórze.

A na podwórzu siedział młodszy braciszek i jadł piasek.

- Ile razy ci mówiłem, że nie wolno zmyślać? - zapytał tatuś. A mama popłakała trochę, a potem spytała:

- Czy nie należałoby dać mu w skórę?

- Na pewno - odrzekł tatuś - ale w tej chwili nie mam na to siły. Musi jednak zrozumieć, że to brzydko zmyślać.

- Ja wcale nie zmyślałem - upierał się Homek.

- Powiedziałeś, że braciszek został zjedzony, a przecież to nieprawda - wyjaśnił tatuś.

- To chyba dobrze, nie? - odparł Homek. - Nie cieszyście się? Ja strasznie się cieszę. Takie węże za jednym zamachem mogą pożreć każdego. I nic nie zostaje, tylko głucha pustka i wycie kojotów w nocy.

- Oj, dziecko, dziecko! - westchnęła mama.

- Więc wszystko dobrze się skończyło! - powiedział Homek wesoło. - A jest dziś legumina na deser?

Wówczas tatuś Homka nagle rozzłościł się i rzekł:

- Dzisiaj leguminy nie dostaniesz. I w ogóle nie dostaniesz obiadu, dopóki nie zrozumiesz, że nie wolno zmyślać.

- Jasne, że nie wolno zmyślać - potwierdził Homek zdziwiony. - To bardzo brzydko.

- Sam widzisz, jak z nim jest - powiedziała mamusia. - Pozwól dzieciakowi zjeść obiad, on i tak nic nie rozumie.

- Nie - odparł tatuś. - Skoro raz powiedziałem, że nie dostanie obiadu, to nie dostanie.

Ten nieszczęśliwy tatuś sądził bowiem, że Homek nigdy już nie będzie mu wierzył, jeżeli raz nie dotrzyma słowa.

Tak więc Homek musiał pójść spać o zachodzie słońca. Był bardzo rozżalony na tatusia i mamusię. Oczywiście i przedtem nieraz zachowywali się głupio, nigdy jednak aż tak jak tego wieczoru. Homek postanowił pójść, gdzie go oczy poniosą. Nie dlatego, żeby ich ukarać, lecz po prostu nie mógł już z nimi wytrzymać i miał dość braku zrozumienia dla siebie. Dzielili wszystkie sprawy, niby grubą kreską, w ten sposób, że po jednej stronie były rzeczy wiarygodne i pożyteczne, po drugiej zaś - zmyślane i niepotrzebne.

- Chciałbym ich zobaczyć oko w oko z Hotomombą - mruczał Homek, zbiegając po schodach i wychodząc na podwórze. - Ale by się zdziwili!

Albo na przykład z wężem. Mógłbym im posłać węża w pudełku. Ale ze szklaną przykrywką, bo jednak nie chciałbym, żeby ich zjadł.

Homek z powrotem ruszył ku miejscu wzbronionemu - na bagno, aby dowieść sobie, że jest samodzielny. Bagna były teraz granatowe, niemal czarne, a niebo zielone. Nisko nad horyzontem biegł jasnożółty pas zachodu słońca, który nadawał okolicy wygląd niezmiernie rozległy i ponury.

- Ja nie zmyślam - mówił, brodząc po bagnie. - Wszystko jest naprawdę. Wróg i Hotomomba, i węże bagienne, i wóz-widmo. Są tak samo naprawdę, jak na przykład nasi sąsiedzi, ogrodnik, kury i hulajnoga.

Powiedziawszy to, stanął bez ruchu wśród ostrych bagiennych traw i zaczął nasłuchiwać.

Gdzieś w oddali jechał wóz-widmo, rzucał czerwone światło na wrzosa, skrzypiał, trzeszczał i toczył się coraz prędzej.

- Nie trzeba było udawać, że jest. Teraz jest naprawdę - szepnął Homek do siebie. - W nogi!

Kępy trawy kołysały się i gięły pod jego łapkami, czarne doły z wodą lśniły jak oczy, a błoto wciskało mu się między palce nóg.

- Nie wolno mi ani trochę myśleć o węzach - stwierdził Homek i w tej samej chwili pomyślał o nich tak gwałtownie i żywo, że wszystkie powyłaziły ze swych dziur i oblizywały sobie wąsy.

- Chciałbym być taki jak mój gruby braciszek - westchnął. - Braciszek myśli brzuszkiem, je wiórki, piasek i ziemię, aż mało brakuje, żeby pękł. Raz



próbował zjeść swój balonik. Gdyby mu się to udało, nie zobaczylibyśmy go już nigdy więcej.

Homek przystanął - urzeczony tym wspomnieniem. Wyobraził sobie swojego małego, grubego braciszka unoszącego się w powietrzu prosto w górę, z nóżkami sterczącymi bezradnie i sznurkiem od balonika zwisającym z buzi...

- O, nie!

Daleko na mokradle świeciło okno. Nie był to, rzecz dziwna, wóz-widmo, lecz małe kwadratowe okno świecące spokojnym światłem.

„Pójdę tam - pomyślał Homek. - Będę szedł; nie będę biegł, bo wtedy się boję. I wcale nie będę myślał, tylko szedł”.

Dom był okrągły, więc prawdopodobnie mieszkała tam jakaś Mimbla.

Homek zapukał. Pukał kilkakrotnie, a gdy nikt się nie zjawił, by mu otworzyć, wszedł do środka.

Wewnątrz było ciepło i przytulnie. Na parapecie okiennym postawiono lampę, dlatego noc za oknem wydawała się czarna jak węgiel. Gdzieś tykał zegar, a wysoko na szafie leżała na brzuchu bardzo mała Mimbla i przyglądała się Homkowi.



- Hej! - powiedział Homek na powitanie i dodał: - Uratowałem się w ostatniej chwili. Węże i prawdziwe, żywe grzyby! Nie masz pojęcia!

Mała Mimbla patrzyła na niego krytycznie i w milczeniu. Potem rzekła:

- Jestem Mi. Widziałam cię kiedyś. Byłeś z małym, grubym Homkiem i ciągle mruczałeś sam do siebie, i machałeś rękami. Cha, cha!

- No i co z tego? - zapytał Homek. - Czemu siedzisz na szafie? To głupie.

- Jak dla kogo - odpowiedziała Mi. - Jak dla kogo... Niektórym może się wydawać głupie, ale dla mnie to jest jedyny ratunek przed potwornym niebezpieczeństwem... - Przechyliła się przez krawędź szafy i szepnęła: - Te żywe grzyby dopełzły już do salonu.

- Co?! - wykrzyknął Homek.

- Tu z góry wszystko widzę. Są pod drzwiami - mówiła dalej Mi. - Czekają. Jeśli chcesz zrobić coś mądrego, to zwiń dywan i zasłoń nim szparę pod drzwiami. Inaczej zrobią się cienkie i wejdą do nas.

- To nie może być prawda - powiedział Homek ze ściśniętym gardłem. - Rano tych grzybów jeszcze nie było. Ani jednego. To ja je wymyśliłem.

- O które ci chodzi? - zdziwiła się Mi. - Myślisz o tych kleistych? O tych, co rosną jak gruby koc, włożą wszędzie, na każdego i przylepiają się?

- Nie wiem - wyszeptał Homek; głos mu drżał. - Nie wiem.

- Moja babcia jest już cała porośnięta - dodała Mi od niechcienia. - Siedzi tam, w salonie. Albo raczej to, co z niej zostało. Wygląda jak duża, zielona kupa grzybów i można poznać ją tylko po tym, że z jednej strony sterczą jej wąsy. Lepiej przesunąć ten dywan pod drzwi. Jeśli to w ogóle coś pomoże.

Homkowi mocno biło serce, a łapki tak mu zeszywniały, że ledwo mógł zwinąć dywan. Gdzieś w głębi domu dalej cykał zegar.

- To jest właśnie dźwięk, który wydają grzyby, kiedy rosną - wyjaśniła Mi. - Rosną i rosną, aż wysadzą drzwi i powłazą na ciebie.

- Weź mnie na szafę! - krzyknął Homek.

- Tu nie ma miejsca - odparła Mi.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Dziwne - rzuciła Mi i westchnęła. - Dziwne, że chcemy się pukać, skoro mogą wejść, kiedy tylko zechcą...

Homek rzucił się w kierunku szafy i próbował na nią puknąć. Pukanie rozległo się znowu.

- Mi! Ktoś przyszedł! - zawołano z głębi domu.

- Tak, tak - odpowiedziała Mi. - Drzwi są otwarte. To moja babcia - wyjaśniła. - Pomyśleć sobie, że ona jeszcze może mówić.

Homek spojrział na drzwi do salonu. Otwierały się z wolna, zobaczył czarną szparę. Krzyknął i wlaź pod kanapę.

- Mi - powiedziała babcia - jak często ci mówiłam, żebyś otwierała, kiedy ktoś puka. I dlaczego położyłaś dywan pod drzwiami? I dlaczego ja nigdy nie mogę spokojnie spać?

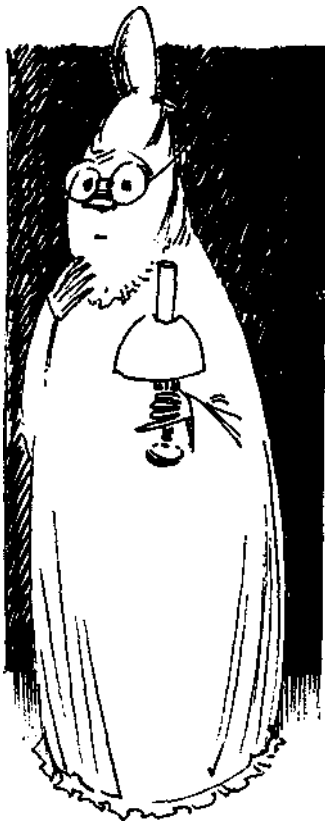
Była to strasznie stara i zła babcia w obszernej, białej koszuli. Przeszła przez pokój i otworzyła drzwi wejściowe.

- Dobry wieczór - powiedziała.

- Dobry wieczór - odrzekł tatuś Homka. - Przepraszam, że panią niepokoję o tej porze. Ale czy nie widziała pani przypadkiem mojego syna, tego średniego?...

- On jest pod kanapą! - krzyknęła Mi.

- Możesz wyjść - powiedział tatuś Homka. - Nie gniewam się na ciebie.



- Ach, tak, pod kanapą. No, tak - rzekła babcia ze znużeniem w głosie. - To bardzo miło gościć u siebie wnuki i oczywiście Mi zawsze może zapraszać do domu

swoich przyjaciół. Wołałabym jednak, żeby bawili się w dzień, a nie w nocy.

- Ogromnie mi przykro - powiedział szybko tatuś. -
Następnym razem syn przyjdzie przed południem.

Homek wygramolił się spod kanapy. Nie spojrzął na Mi ani na jej babcie. Ruszył prosto do drzwi wyjściowych, wyszedł na schody i w mrok.

Obok niego w milczeniu szedł jego tatuś. Homek był tak dotknięty, że niemal płakał.

- Tatusiu - powiedział. - Ta dziewczynka... Nie masz pojęcia... Ja tam już nigdy nie pójdę - mówił wzburzony.

- Ona tak okropnie, tak strasznie zmyśla, że aż się niedobrze robi!

- Rozumiem - pocieszył go tatuś. - To może być ogromnie przykre.

I poszli do domu, i zjedli całą leguminę, jaka została z obiadu.





O FILIFIONCE, KTÓRA WIERZYŁA W KATASTROFY

Była sobie raz Filifionka, która prała swój duży szmacyany chodnik w morzu. Tarła go mydłem i szczotką aż do niebieskiego pasa i czekała na co siódmą falę, która przychodziła w sam raz, aby zmyć mydlaną pianę.

Potem prała go do następnego niebieskiego pasa; słońce grzało jej plecy, ona zaś stała na swoich szczupłych nogach w przezroczystej wodzie i tarła, wciąż tarła.

Był pogodny i bezwietrzny letni dzień, taki właśnie, jaki nadaje się na pranie chodników. Fale nadchodziły

jedna za drugą, powolne i senne, aby jej pomóc, a wokół jej czerwonej czapeczki brzęczało kilka trzmieli, sądząc, że jest kwiatem.

„Umizgujcie się do mnie, jeśli chcecie - pomyślała Filifionka z goryczą. - Ja w każdym razie wiem, jak to jest. Świat przed katastrofą zawsze wygląda tak cicho i spokojnie”.

Doszła do ostatniego niebieskiego pasa na chodniku, pozwoliła siódmej fali zmyć go, po czym wyciągnęła cały chodnik z wody.

Skała pod wodą była gładka i czerwona, w głębi zaś tańczyły odbłaski słońca. Tańczyły również na palcach nóg Filifionki, złocąc wszystkie dziesięć.

Zatonęła w rozmyślaniach. Mogłaby sprawić sobie nową czapkę w kolorze pomarańczowym. Albo na starej wyhaftować odbłaski słońca złotymi nićmi. Lecz



naturalnie nie będą przypominać tych prawdziwych, bo przecież będą nieruchome. A zresztą, co komu z nowej czapki, gdy przyjdzie niebezpieczeństwo? Zginąć można równie dobrze i w starej...

Filifionka wywlokła chodnik na ląd, otrzepała go o skałę i z cierpką miną zaczęła po nim spacerować, aby wycisnąć zeń wodę.

Pogoda była zbyt piękna - co nie było naturalne. Coś musi się zdarzyć. Wiedziała o tym. Nisko nad horyzontem zbierało się to ciemne i straszne - gromadziło się, nadchodziło - coraz prędzej i prędzej...

- I nie wiadomo nawet, co to jest - szepnęła Filifionka do siebie.

Serce zaczęło jej walić, poczuła zimno na plecach; odwróciła się gwałtownie, jakby ktoś groźny nieoczekiwanie za nią stanął. Ale morze migotało jak przedtem, odblaski słońca ślizgały się żartobliwie po jego powierzchni, a letni wiatr muskał pocieszająco jej pyszczek.

Nielatwo jednak pocieszyć Filifionkę, którą - z nieznanych powodów - ogarnęła panika. Drżącymi łapkami rozpostarła chodnik, aby wysechł, i chwyciwszy



mydło i szczotkę, pobiegła w stronę domu nastawić wodę na herbatę - Gapsa obiecała zajrzeć koło piątej.

Dom Filifionki był duży i nieszczególnie piękny. Ktoś kiedyś chcąc się pozbyć starych farb olejnych, pomalował go na ciemnoszaro z zewnątrz i na brązowo wewnątrz. Filifionka wynajęła go (bez mebli) od pewnego Paszczaka, który zapewniał ją, iż jej babka

pomieszkiwała w nim za młodu, zazwyczaj latem. A że Filifionka darzyła swoją rodzinę ogromnym uczuciem, uznała natychmiast, że i ona powinna tu mieszkać, aby uczcić pamięć babki.

Pierwszego wieczoru po wynajęciu domu dziwiła się bardzo, siedząc na werandzie, jak jej babka za młodu musiała być niepodobna do siebie w późniejszym wieku. Pomyśleć tylko, że prawdziwa Filifionka, mająca poczucie piękna przyrody, osiadła na tym jałowym, okropnym wybrzeżu. Bez ogrodu, w którym można by zebrać coś, z czego dałoby się zrobić konfitury. Bez najmniejszego drzewka liściastego czy krzaczka, który można by przerobić na altankę. Nawet bez przyzwoitego widoku.

Filifionka westchnęła i z pustką w oczach patrzyła na morze zielone o zmroku, obrzeżone rozległą plażą z rozbijającymi się falami. Jak daleko sięgnąć wzrokiem, wszędzie zielona woda, biały piasek i czerwone, wyschnięte wodorosty. Był to w sam raz krajobraz do katastrof: ani jednego bezpiecznego miejsca.

O, naturalnie, potem Filifionka dowiedziała się, że to wszystko było omyłką.

Wprowadziła się do tego okropnego domu na tym okropnym wybrzeżu zupełnie niepotrzebnie. Babka bowiem, jak się okazało, mieszkała w zupełnie innym domu. Tak to w życiu bywa.

Ale było już za późno: Filifionka zdążyła napisać do całej rodziny o swojej przeprowadzce, uważała więc, że nie wypada nic zmieniać.

Mogliby uznać, że jest trochę zbzikowana.

Filifionka zamknęła więc za sobą drzwi i starała się urządzić wewnątrz domu przytulnie w miarę możliwości. Nie było to jednak łatwe. Pokoje były tak wysokie, że sufit pozostawał zawsze w cieniu, a okna duże i poważne do tego stopnia, iż żadne koronkowe firanki na świetle nie mogłyby ich ozdobić i uczynić miłymi. Nie były to okna do wyglądania, za to każdy mógł łatwo zajrzeć do środka - a tego Filifionka nie lubiła.

Starała się urządzić przytulne kąpiki, lecz wszystko na nic. Meble gubiły się. Krzesła szukały schronienia pod stołem, kanapa przerażona cofała się ku ścianie, a krążki światła lamp były równie bezsilne jak samotne światełko latarki w ciemnym lesie.

Jak wszystkie Filifionki miała masę ozdobnych bibelotów. Małych lusterek i fotografii rodzinnych

w ramach z aksamitu i muszelek, kotów i Paszczaków z porcelany, stojących na szydełkowych serwetkach, pięknych przysłów haftowanych jedwabiem lub srebrem, małych wazonów i przyjemnych kapturków na imbryczki do herbaty w kształcie Mimbli - słowem, moc tego wszystkiego, co czyni życie łatwiejszym, mniej niebezpiecznym i ogromnym.

Lecz w ponurym domu nad morzem wszystkie te ukochane piękne rzeczy straciły swój sens i spokój. Przeszła je więc ze stołu na komodę i z komody na okno, ale nigdzie nie pasowały, nie były u siebie.

Stały jednak. Zupełnie zagubione.

Filifionka zatrzymała się w drzwiach i patrzyła, szukając pocieszenia w przedmiotach, które były jej własnością. Lecz miały w sobie podobną bezradność jak ona sama. Poszła do kuchni i rozpałała ogień pod czajnikiem, potem wyjęła najwytworniejsze filiżanki ze złotym brzegiem oraz patere, zdmuchnęła zręcznie okruchy z jej brzegu i położyła kilka małych lukrowanych ciasteczek, żeby zaimponować Gapsie.

Gapsa pijała herbatę bez śmietanki, lecz Filifionka wyjęła mimo to również i babciny srebrny dzbanuszek w kształcie łodzi, a kostki cukru wsypała do pluszowego koszyczka z paciorkami na ręczce.

Nakrywając stół do herbaty, czuła się zupełnie spokojna - wszystkie myśli o katastrofie się oddaliły.

Szkoda jednak, że w tej fatalnej okolicy nie można było znaleźć ładnych i odpowiednich kwiatów. Rosły tu jedynie złe, kolczaste krzaczki, a ich kwiaty nie pasowały do salonu. Filifionka z niezadowoleniem odsunęła wazon na kraniec stołu i zrobiła krok w stronę okna, by wyrzucić, czy nie idzie Gapsa.

Lecz nagle pomyślała: „Nie. Nie będę wyglądać. Zaczekam, aż zapuka. Wtedy pobiegnę otworzyć i będziemy obie strasznie ucieszone i towarzyskie, i będziemy cały czas rozmawiać... Jeżeli wyrzęc, może się zdarzyć, że wybrzeże będzie puste aż het do latarni morskiej. Albo że zobaczą mały zbliżający się punkcik, a ja nie lubię rzeczy, które zbliżają się nieuchronnie... A byłoby jeszcze gorzej, gdyby ten punkcik nagle zaczął się zmniejszać, zmniejszać i zniknąć...”

Filifionka zaczęła drżeć. „Co się ze mną dzieje? - pomyślała. - Muszę pomówić o tym z Gapsą. Może ona

nie jest tym kimś, z kim najchętniej chciałabym mówić, ale przecież nie znam nikogo innego”.

Rozległo się pukanie do drzwi. Filifionka wybiegła do sieni i zanim jeszcze otworzyła drzwi, zaczęła mówić.

- ...Ach, jaka piękna pogoda - zawołała. - Morze, pomyśleć tylko, morze... Takie niebieskie, takie życzliwe, bez choćby jednej zmarszczki! Jak się pani ma, ślicznie pani dzisiaj wygląda... Ach, mogłam się tego spodziewać... No, tak, kiedy się żyje w ten sposób, natura i to wszystko - temu to chyba należy zawdzięczać, prawda?...

„Bredzi bardziej niż zwykle” - pomyślała Gapsa, zdejmując rękawiczki (była bowiem prawdziwą damą), głośno zaś powiedziała:

- Właśnie. Ma pani zupełną rację, pani Filifionko.

Usiadły przy stoliku nakrytym do herbaty, a Filifionka tak była zadowolona z towarzystwa, że plotła najzupełniejsze głupstwa i rozlewała herbatę na obrus.

Gapsa chwaliła ciastka i cukierniczkę, i wszystko, co się dało, tylko o kwiatkach w wazonie nic nie powiedziała. Gapsa była dobrze wychowana, a każdy widział, że ten



dziki, zły krzak nie pasował do serwisu do herbaty.

Po chwili Filifionka przestała mówić głupstwa, a że Gapsa nie odezwała się, zrobiło się zupełnie cicho.

Nagle blask słońca na obrusie zgasł, a duże, poważne okna wypełniły się chmurami i obie panie usłyszały wiejący od morza wiatr. Gdzieś daleko, nie głośniejszy niż szept.

- Widzę, że uprała pani chodnik, pani Filifionko - powiedziała Gapsa z uprzejmym zainteresowaniem.

- Tak, woda morska jest przecież podobno bardzo dobra na chodniki - rzekła Filifionka. - Kolory nie puszczają i chodnik ma potem taki świeży zapach...

„Chcę, żeby Gapsa zrozumiała - pomyślała. - Chcę, żeby ktoś zrozumiał, że się boję, ktoś, kto mógłby mi odpowiedzieć: »Ależ, oczywiście, rozumiem cię świetnie, że się boisz«. Albo: »Czegóż tu się bać, na litość boską? W taki piękny, spokojny letni dzień?«. Żeby powiedział cokolwiek bądź, ale żeby coś powiedział”.

- Te ciasteczka upiekłam według przepisu babci - powiedziała Filifionka.

Po czym pochyliła się nad stołem i szepnęła:

- Ten spokój jest nienaturalny. Oznacza, że na pewno stanie się coś okropnego. Niech mi pani wierzy, kochana, jesteśmy bardzo małe i nic nie znaczymy razem z naszymi ciasteczkami do herbaty i naszymi chodnikami, i wszystkim tym, co jest ważne, pani wie, okropnie ważne, lecz zawsze zagrożone przez to nieubłagane...

- O - powiedziała Gapsa z zażenowaniem.

- Tak, tak, przez to nieubłagane - mówiła Filifionka szybko. - To, czego nie można uprosić, z czym nie można dyskutować, czego nie można zrozumieć i o czym się nie wie. To, co się czai w ciemnym pokoju i przychodzi skądś z dala i czego nigdy nie widać, aż już jest za późno. Czy pani to kiedyś czuła? Niech pani powie, że kiedyś już przeżyła to. Moja kochana, niech pani powie...

Gapsa, zaczerwieniona, obracała cukierniczkę i żalowała, że w ogóle tu przyszła.

- Teraz, późnym latem, bywają bardzo gwałtowne wichury - powiedziała w końcu ostrożnie.

Filifionka, zawiedziona, popadła w milczenie.

Gapsa, odczekawszy chwilę, mówiła dalej, trochę poirytowana:

- Suszyłam bieliznę w piątek i proszę mi wierzyć, że musiałam biec aż do furtki za moją najlepszą powłóczką na jasiek, taki był wiatr. Jakiego używa pani środka do prania, pani Filifionko?

- Nie pamiętam - odparła Filifionka i poczuła się urażona, bo Gapsa nawet nie próbowała jej zrozumieć. - Czy pozwoli pani jeszcze herbaty?

- Nie, dziękuję - odmówiła Gapsa. - Była to doprawdy bardzo miła wizyta. Obawiam się, że muszę już ruszać do domu.

- Tak, tak - odrzekła Filifionka. - Rozumiem.

Nad morzem pociemniało i słychać było pomruk fal na brzegu.

Było trochę za wcześnie, aby zapalić lampę, ale zbyt ciemno, aby mogło być przyjemnie. Chudy nos Gapsy był bardziej zmarszczony niż zwykle, można było sądzić, że nie czuje się dobrze. Ale Filifionka nie wstała, by pomóc jej wyjść, nic nie mówiła i siedziała spokojnie, krusząc lukrowane ciasteczko na drobne kawałki.

„To przykre” - pomyślała Gapsa, wzięła niepostrzeżenie swoją torebkę z komody i wsunęła ją pod ramię. A na dworze wzmagął się wiatr południowo-zachodni.



- Mówiła pani o wietrze - odezwała się nagle Filifionka. - O tym wietrze, który porywa bieliznę. Ale ja mówię o cyklonach, o tajfunach, droga Gapso. O trąbach powietrznych, tornadach, burzach piaskowych... O falach, które porywają domy... ale przede wszystkim

mówię o sobie samej i moich okropnych lękach, chociaż wiem, że to nie wypada. Wiem też, że to się źle skończy. Myślę o tym przez cały czas. Nawet kiedy piorę chodnik. Czy pani odczuwa podobnie?

- Zazwyczaj dobrze robi ocet - powiedziała Gapsa, wpatrując się w swoją filiżankę. - Szmaciane chodniki nie tracą koloru, jeśli się wleje trochę octu do płukania.

Wówczas Filifionka rozgniewała się, co było u niej czymś niezwykłym. Czowała, że musi sprowokować Gapsę w jakiś sposób, chwyciła się więc pierwszego lepszego pomysłu, jaki przyszedł jej do głowy, i wskazując na paskudny krzaczek w wazonie, zawołała:

- Niech pani spojrzy, jaki ładny! I pasuje w sam raz do serwisu!

Gapsa rozzłościła się również i, najwyraźniej znudzona tym wszystkim, zerwała się, mówiąc:

- Ani trochę! Jest za duży i za kolczasty, i za pstry, i zupełnie nie pasuje na proszoną herbatkę!

Po czym obie panie powiedziały sobie „do widzenia” i Filifionka, zamknąwszy drzwi, wróciła do salonu.

Była smutna i rozczarowana, miała poczucie, że przyjęcie się nie udało. Krzaczek stał na samym środku stołu, szary, kolczasty, obsypany ciemnoczerwonymi kwiatami. Nagle Filifionce wydało się, że to nie tyle kwiaty nie pasują do serwisu, lecz po prostu serwis nie pasuje do niczego.

Przestawiła wazon na parapet okna.

Całe morze było odmienione. Stało się szare, fale miały białe zęby i szarpały ze złością piaszczysty brzeg. Niebo było czerwonawe i ciężkie.

Filifionka długo stała w oknie, słuchając, jak wzmaga się wiatr.

Wtem zadzwonił telefon.

- Czy to pani Filifionka? - zapytał ostrożnie głos Gapsy.

- Oczywiście, to ja - odpowiedziała Filifionka. - Tu nikt inny nie mieszka. Czy bezpiecznie dotarła pani do domu?

- O tak, tak - odparła Gapsa. - Zdaje się, że teraz znów trochę dmucha. - Milczała chwilę, po czym dodała życzliwie: - Pani Filifionko? Te okropności, o których pani mówiła... Zdarzają się pani często?

- Nie - odpowiedziała Filifionka.



- A więc tylko czasem?

- Właściwie nigdy - przyznała Filifionka. - Ja tylko tak czuję.

- Aha - odrzekła Gapsa. - Tak, chciałam podziękować pani za miłe przyjęcie. Więc nigdy się pani nic nie zdarzyło?

- Nie - rzekła Filifionka. - To miło, że pani zadzwoniła. Mam nadzieję, że się jeszcze kiedyś zobaczymy.

- I ja mam nadzieję - powiedziała Gapsa i odłożyła słuchawkę.

Filifionka siedziała przez chwilę, marznąc, i patrzyła na telefon.

„Niedługo moje okna poczernieją - myślała. - Można by je zasłonić kocami. Można by też odwrócić lustra do ściany”. Ale nic nie zrobiła, siedziała tylko, słuchając, jak wiatr huczy w kominie. Zupełnie jak małe, bezdomne zwierzę.

Tymczasem o południową ścianę domu zaczęła obijać się sieć Paszczaka, lecz Filifionka nie miała odwagi wyjść i jej zdjąć.

Dom zaczął drzeć, wiatr uderzał weń raz po raz i słychać było, jak sztorm nabiera rozpędu i gna w podskokach nad morzem.

Z dachu zsunęła się wolno dachówka i roztrzaskała o skały. Filifionka drgnęła, potem wstała. Szybko weszła do sypialni. Sypialnia była jednak za duża, nie czuła się tu pewnie. Pomyślała o spizarni, która była dostatecznie mała, by móc się tam czuć bezpiecznie.

Chwyciła w objęcia kołdrę, przebiegła przez korytarz i kopnięciem otworzyła drzwi do spiżarni; dysząc, zamknęła je za sobą. Tu odgłosy sztormu nie dochodziły tak wyraźnie. I nie było okna, tylko mały lufcik.

Wyminąwszy po omacku worek z kartoflami, owinęła się kołdrą i przycupnęła tuż przy ścianie pod półką z konfiturami.

Jej wyobraźnia zaczęła malować własny sztorm, o wiele czarniejszy i dzikszyszy od tego, który wstrząsał domem. Fale stawały się białymi smokami, wyjąca trąba morska ukrećiła z wody czarny słup na horyzoncie - lśniący filar, który pędził prosto na nią, coraz bliżej i bliżej...

Jej własne sztormy były zawsze najstraszniejsze. I w głębi duszy Filifionka była trochę dumna ze swoich katastrof, przeżywanych zupełnie samotnie.

„Osioł z tej Gapsy - pomyślała sobie. - Całkiem zwariowana kobieta, która nie potrafi myśleć o niczym innym, jak tylko o ciastkach do herbaty i poszewkach na jaśki. Na kwiatkach też się nie zna. Siedzi tam teraz i myśli, że ja nigdy niczego nie przeżyłam. Ja, która co dzień przeżywam prawdziwy koniec świata i która mimo to nadal ubieram się i rozbieram, i jem, i zmywam,



i przyjmuję wizyty, jak gdyby nigdy nic!”.

I Filifionka wytknęła nos zza kołdry, spojrzała surowo w ciemność i rzekła:

- Ja wam pokażę!

Nie wiadomo, co chciała przez to powiedzieć. Następnie głębiej wsunęła się pod kołdrę i zasłoniła sobie uszy łapkami.

Sztorm na dworze wzmagął się i około pierwszej po północy szybkość wiatru doszła do czterdziestu sześciu metrów na sekundę.

A mniej więcej o drugiej zawalił się komin na dachu. Połowa spadła na ziemię koło domu, reszta zjechała na palenisko w kuchni. Przez dziurę w dachu widać było ciemne nocne niebo, po którym sunęły wielkie chmury. Potem sztormowy wiatr wdarł się do domu i nie było już widać nic poza fruującym popiołem, łopoczącymi dziko

firankami i obrusami oraz fotografiami ciotek i wujów, wirującymi w powietrzu. W ukochane przedmioty Filifionki jak gdyby nagle wstąpiło życie, wszystko wokół skrzypiało, szeleściło i dzwoniło, drzwi zamykały się z łoskotem, a obrazy zjeżdżały ze ścian na podłogę.

Oślepiąca i bliska obłądu Filifionka stała na środku salonu w trzepoczącej spódnicy i myślała: „To jest właśnie to. To już koniec. Nareszcie! Teraz już nie będę musiała dłużej czekać”.

Podniosła słuchawkę telefonu, żeby zadzwonić do Gapsy i powiedzieć jej... tak, powiedzieć coś, co by zdruzgotało Gapsę raz na zawsze. Chłodno i triumfująco.

Ale przewód telefoniczny był zerwany.

Filifionka słyszała tylko sztorm i odgłos sypiących się dachówek. „Jeżeli pójdę na strych, to może się zdarzyć, że dach zostanie zdmuchnięty - pomyślała. - A jeśli zejść do piwnicy, to cały dom może się na mnie zawalić. W każdym razie wszystko to może się stać”.

Chwyciła porcelanowego kotka i przycisnęła go mocno do siebie. Wtem wicher dmuchnął w okno i szkło



posypało się na podłogę. Ulewa uderzyła w mahoniowe meble, a piękny Paszczak z gipsu rzucił się ze swojego postumentu i rozleciał w kawałki.

Szklany żyrandol babci z potwornym trzaskiem rąbnął o podłogę. Słuchając, jak jej rzeczy żalą się i krzyczą, Filifionka zobaczyła w roztrzaskanym lustrze fragment swojego własnego pobladłego pyszczka i, nie zastanawiając się, podbiegła do okna i wyskoczyła.

Stwierdziła, że siedzi na piasku. Czowała na twarzy ciepły deszcz, a sukienka wzdymała się wokół niej i trzepotała jak żagiel.

Mocno zacisnęła powieki. Wiedziała, że znajduje się w samym środku niebezpieczeństwa, zupełnie bezradna.

Burza dudniła dalej, spokojnie i statecznie. Ale wszystkie niepokojące dźwięki zniknęły, wszystkie wycia, trzaskania, rozsypywanie się na kawałki, spadanie z hukiem i rozdzieranie się. Niebezpieczeństwo było więc wewnątrz domu, a nie na zewnątrz.

Filifionka ostrożnie wciągnęła cierpki zapach morskich wodorostów i otworzyła oczy.

Ciemność nie miała już tej gęstości jak tam, w salonie.

Widziała morską kipieli i pasmo światła latarni przesuwające się wolno wśród nocy: mijalo ją półkolem, wędrowało przez piaszczyste wydmy, gubiło się hen na horyzoncie i znowu wracało. Dokoła i dokoła chodziło to spokojne światło, nie spuszczać oka z burzy.

„Nigdy jeszcze nie byłam na dworze sama w nocy - stwierdziła Filifionka. - Gdyby tak mama wiedziała...”.

Zaczęła pełznąć pod wiatr, w dół ku brzegowi, aby jak najdalej odejść od domu Paszczaka. Kotka z porcelany wciąż trzymała w łapce, uspokajała ją myśl, że ma coś, co ją chroni. Spostrzegła, iż morze było teraz biało-granatowe. Grzebień fali pędziły na wprost i niosło je jak dym na plażę. Ten dym miał smak soli.

Za nią, z tyłu, roztrzaskało się coś wewnątrz domu. Ale nie odwróciła głowy. Skuliła się pod wielkim głazem i szeroko otwartymi oczyma patrzyła prosto w noc. Już nie marzła. Najdziwniejsze zaś było to, że nagle poczuła się zupełnie bezpieczna. Było to bardzo szczególne uczucie i Filifionka uznała, że jest to nadzwyczaj

przyjemne. Bo właściwie dlaczego miałyby się niepokoić? Katastrofa przecież nareszcie przyszła.

Nad ranem sztorm się uciszył, lecz Filifionka niemal tego nie zauważyła. Siedziała, rozmyślając o sobie i swoich katastrofach, i swoich meblach, i zastanawiała się, jak doprowadzić wszystko do ładu. Właściwie nie stało się nic poza tym, że komin się zawalił.

Czuła jednak, że nic bardziej ważnego nie wydarzyło się dotąd w jej życiu. Nic, co by aż do tego stopnia przewróciło wszystko do góry nogami. Nie wiedziała, co powinna zrobić, aby znowu stać się sobą.

Sądziła nawet, że dawnej Filifionki już nie ma, i nie była pewna, czy chce, żeby tamta wróciła. A co z tym wszystkim, co było własnością dawnej Filifionki? Z tym, co się połamało, zakopciło, rozpadło i zamokło? Ach, siedzieć i naprawiać teraz tydzień po tygodniu, kleić, cerować, szukać brakujących części...

Prac i prasować, odmalowywać i martwić się, że nie wszystko można przywrócić do dawnego wyglądu,

i zawsze wiedzieć, w każdym razie, że pęknięcia zostały i że wszystko przedtem było o wiele ładniejsze... O nie! A potem ustawić całe to nieszczęście w ten sam sposób, w jaki było ustawione w tych ciemnych, ponurych pokojach, i dalej ludzi się, że są przytulne...

- Nie! Nie zrobię tego! - krzyknęła Filifionka, prostując zeszywniałe nogi. - Jeżeli zacznę to wszystko porządkować, żeby wyglądało jak przedtem, to i sama stanę się taka jak przedtem, znowu będę się bała... Czuję to. I znowu będą się czaić za mną cyklony, tajfuny...

Spojrzała na dom Paszczaka. Stał.

Wszystko, co uległo zniszczeniu, było wewnątrz domu, leżało tam i czekało, aby się tym zajęła.

Żadna prawdziwa Filifionka nigdy nie zostawiła swoich pięknych odziedziczonych mebli na pastwę losu...

- Mama powiedziałyby, że jest coś, co nazywa się obowiązkiem - mruknęła do siebie Filifionka.

Wschodni horyzont czekał na słońce. Nad morzem polatywały płochliwe wietrzyki, a niebo zasypane było chmurami, które sztorm, zapominając o nich, zostawił po sobie. Przetoczyło się kilka słabych grzmotów.

Pogoda była niespokojna, a fale nie wiedziały, dokąd chcą płynąć. Filifionka zawahała się.

Wtedy ujrzała trąbę powietrzną.

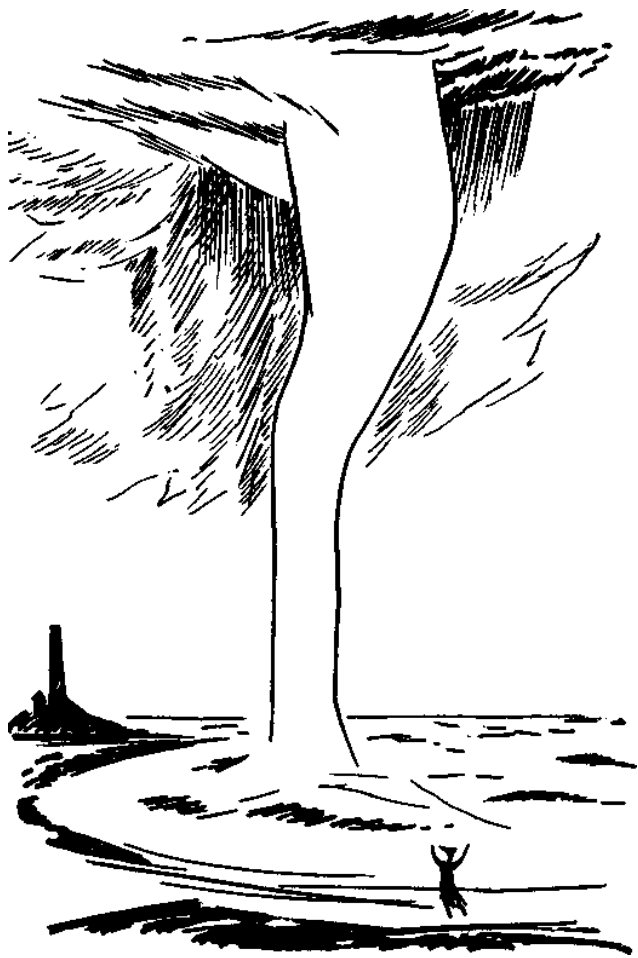
Nie była wcale podobna do tej z wyobraźni Filifionki - do czarnego, lśniącego słupa wody. Ta była prawdziwa, jasna, utworzona z wirujących białych chmur, które skręciły się ku dołowi w olbrzymią spiralę, kredowobiałą tam, gdzie woda z morza uniosła się na jej spotkanie.

Nie wyła i nie ciskała się. Była zupełnie cicha, zbliżała się powoli do brzegu, kołysząc się łagodnie. Teraz zaróżowiła się w świetle wschodzącego słońca.

Ta trąba była nieskończenie wysoka, obracała się bezgłośnie wokół swojej osi i zbliżała się coraz bardziej i bardziej...

Filifionka stała bez ruchu, zupełnie bez ruchu, ściskając porcelanowego kotka i myśląc: „O, ty moja piękna, moja wspaniała katastrofo...”.

Trąba sunęła już nad plażą, całkiem niedaleko od Filifionki. Biały, majestatyczny słup minął ją, zamieniony teraz w słup piasku, i bardzo spokojnie unioś dach domu Paszczaka. Filifionka zobaczyła, jak dach jedzie w górę i znika. Potem zawirowały w powietrzu



meble i też zniknęły. Zobaczyła swoje bibeloty lecące wprost do nieba, serwetki na tacę, rodzinne zdjęcia, kapturki na imbryk do herbaty i babciny dzbanuszek na śmietanę w kształcie łodzi, i wyszywane srebrem i jedwabiem przysłowia, wszystko, wszystko, wszystko! - i myślała zachwycona: „O, jak wspaniale! Cóż ja poradzę, biedna, mała Filifionka, przeciwko wielkim siłom przyrody? Czy po czymś takim cokolwiek jeszcze będzie można zreperować? Nie! Nic! Wszystko jest wysprzątane! I wymiecione!”.

Trąba wędrowała uroczyście nad polami i Filifionka zobaczyła, jak zwięza się, pęka i rozprasza. Była już niepotrzebna.

Filifionka odetchnęła głęboko.

- Teraz już nigdy nie będę się bała - powiedziała. - Teraz już jestem zupełnie wolna. Teraz mam chęć na wszystko.



Postawiła kotka na kamieniu. Miał obtłuczone jedno ucho i olej na mordce. Nadawało mu to nowy wyraz, wyglądał nieco przekornie i zawadiacko.

Słońce podnosiło się. Filifionka zeszła na wilgotny piasek i dostrzegła na nim swój szmaciany chodnik. Szstorm przybrał go wodorostami i muszelkami i żaden szmaciany chodnik na świecie nie był nigdy tak dobrze uprany. Filifionka zachichotała. Wzięła chodnik w obie łapki i wciągnęła go za sobą do wody. Dała nurka w wielką, zieloną fale, usiadła na chodniku i jechała na nim w perlistej pianie, znowu dała nurka i znowu - aż do samego dna.

Ogromne fale jedna po drugiej przetaczały się nad nią, przezroczyście zielone. Potem Filifionka wybiła się na powierzchnię wody i na słońce i pluła, i śmiała się, pokrzykiwała, i tańczyła ze swoim chodnikiem w morzu.

Jeszcze nigdy w życiu nie było jej tak wesoło.

Gapsa wołała do niej dość długo, zanim Filifionka ją usłyszała.

- Co za okropność! - krzyczała Gapsa. - Kochana, biedna pani Filifionka!

- Dzień dobry! - odpowiedziała Filifionka, wyciągając chodnik na brzeg. - Jak się pani miewa?

- Wychodzę z siebie! - wybuchnęła Gapsa. - Co za noc! Myślałam tylko o pani, cały czas! Widziałam ją! Widziałam ją, jak szła! Myślałam tylko o pani, cały czas! Widziałam ją! Widziałam ją, jak szła! To przecież czysta katastrofa!

- Jak to? - spytała niewinnie Filifionka.

- Miała pani rację, ach, i to jaką rację - żaliła się Gapsa. - Mówiła pani przecież, że będzie katastrofa. Pomyśleć tylko, te wszystkie pani piękne rzeczy! I ten piękny dom! Całą noc usiłowałam dodzwonić się do pani, taka byłam niespokojna, ale przewody pozrywało...

- To miło z pani strony - powiedziała Filifionka, wycimając wodę ze swojej czapki. - Ale to doprawdy zupełnie niepotrzebne. Jeżeli ktoś ma zmartwienie, powinien tylko dolać trochę octu do płukania, a szmaciane chodniki nie stracą koloru!

I Filifionka usiadła na piasku, i śmiała się, i śmiała aż do łez.



HISTORIA O OSTATNIM SMOKU NA ŚWIECIE

W pewien czwartek pod koniec upałów, w stawku z brązową wodą, na prawo od drzew, na których wisiał hamak Tatusia, Muminek złowił małego smoka.

Rzecz jasna, nie miał zamiaru wyłowić smoka. Usiłował jedynie nałapać trochę drobnych stworzonek, które krążyły w mule na dnie; chciał bowiem zbadać, jak poruszają nogami, i sprawdzić, czy rzeczywiście niektóre z nich pływają tylko tyłem. Ale gdy szybko podniósł słoik, było w nim coś zupełnie innego.



- Na mój ogon! - szepnął Muminek.

Trzymał słoik w obu łapkach i patrzył.

Smok nie był większy od pudełka zapalek, a pływając w wodzie, ślicznie poruszał przezroczystymi skrzydłami, równie pięknie ukształtowanymi, jak płetwy złotej rybki.

Jednak żadna złota rybka nie była złota do tego stopnia jak ten miniaturowy smok. Aż mienił się, aż był chropowaty od złota w blasku słońca. Głowę miał jasnozieloną, a oczy żółte jak cytryna. Każda z jego sześciu złotych nóżek była zakończona zieloną łapką, a odwłok ku ogonowi również przechodził w zieleń. Jednym słowem, był zachwycający.

Muminek zakręcił pokrywkę słoja (z dziurkami na powietrze) i postawił go ostrożnie na mchu. Potem

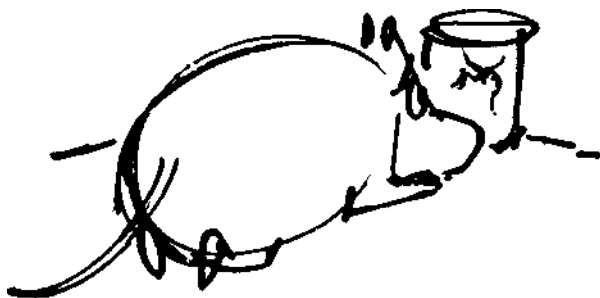
położył się na brzuchu i zaczął przyglądać się smokowi z bliska.

Smok podpłynął do szklanej ściany i otworzył paszczę pełną ostrych, białych zębów.

„Jest zły - pomyślał Muminek. - Zły, chociaż taki okropnie mały. Co robić, żeby mnie polubił?... I co on je?... Co jedzą smoki?”

Zatroskany i podniecony, wziął słój w ręce i zaczął iść w stronę domu; szedł ostrożnie, aby się nie potknąć i aby smok nie obijał się o szklane ściany słoja. Był przecież tak strasznie mały i delikatny.

- Będę dbał o ciebie i będę cię kochał - szepnął Muminek. - A w nocy będziesz mógł spać na mojej poduszce. A kiedy urośniesz i polubisz mnie, będziemy razem pływali w morzu.



Tatuś Muminka był zajęty swoimi grządkami tytoniu. Naturalnie, można by mu pokazać smoka. Choć raczej nie. Jeszcze nie teraz. Tymczasem można mieć smoka dla siebie, przez parę dni, żeby się oswoił. I był tajemnicą, podczas gdy czekało się właśnie na najprzyjemniejsze - żeby pokazać go Włóczykijowi.

Muminek mocno ścisnął słój w łapkach i ruszył w stronę bocznych drzwi domu; szedł obojętnie, tak jak tylko potrafił.

Reszta rodziny była gdzieś w okolicach werandy. Ale gdy wślizgiwał się do domu, zza beczki z wodą wyjrzała mała Mi i zawołała ciekawie:

- Co tam masz?

- Nic - odrzekł Muminek.

- To jest słoik - powiedziała Mi, wyciągając szyję. - Co w nim jest? Dlaczego to chowasz?

Muminek pędem wbiegł po schodach do swego pokoju. Gwałtownie postawił słój na stole, aż chlusnęła zeń woda, a smok okrył głowę skrzydłami i zwinął się w kłębek. Po chwili zaczął się jednak wolno rozprostowywać i pokazał zęby.

- Coś takiego nie zdarzy się już nigdy więcej - zapewnił Muminek. - Bardzo przepraszam - dodał,

odkręcając przykrywkę, żeby smok mógł się rozejrzeć. Po czym ruszył do drzwi, by je zamknąć na zasuwę. Z Mi nigdy nic nie było wiadomo.

Kiedy wrócił, smok wyszedł z wody i siedział na brzegu słoja. Muminek ostrożnie wyciągnął łapkę, żeby go pogłaskać.

Wtedy smok otworzył paszczę i zionął chmurką dymu. Czerwony język wysunął się jak płomień i zaraz szybko schował się na powrót.

- Oj! - krzyknął Muminek; sparzył się. Nie za mocno, ale jednak. Podziwiał smoka coraz bardziej.

- Jesteś zły, co? - spytał cicho. - Okropny, straszny i okrutnie przeraźliwy, co? Ty mój mały, malutki smoczku, ty!

Smok parsknął.

Muminek włożył pod łóżko i wydobył spod niego swoją szufladę z zapasami. Było w niej kilka już stwardniałych naleśników, pół kanapki i jabłko. Odkroił po kilka niewielkich kawałków i ułożył dookoła smoka na stole.

Smok obwąchał je, po czym spojrział na Muminka z pogardą i nagle, niewiarygodnie szybko, skoczył na parapet okienny, aby dopaść tłustej sierpniowej muchy.

Mucha przestała bzykać i zaczęła piszczeć, gdy smok pochwycił ją za kark swoimi zielonymi łapkami i dmuchnął jej dymem w oczy.

I tylko ciach, ciach, białymi zębami, i sierpniowa mucha zniknęła w rozwartej paszczy. Smok długo łykał, po czym, oblizawszy pyszczek, podrapał się za uchem i spojrzał na Muminka szyderczo, jednym okiem.

- Ach, jakiś ty zręczny! - krzyknął Muminek. - Mój ty malutki.

W tej samej chwili Mama Muminka uderzyła w gong, dając znak, że śniadanie gotowe.

- Teraz sobie grzecznie poczekaasz na mnie - powiedział Muminek. - Wrócę, jak tylko będę mógł.

Stał przez moment, patrząc czule na smoka, choć tamten nie był raczej skłonny do czułości, i szepnął: - Kochanie! - a potem szybko zbiegł po schodach na werandę.

Mi nie tknęła jeszcze swojej kaszy łyżką, kiedy zaczęła:

- Są tacy, co trzymają tajemnice w słoikach...
- Zamknij buzię - powiedział Muminek.
- Można przypuszczać - mówiła dalej Mi - że niektórzy zbierają pijawki i stonogi albo też bardzo duże

krocionogi, które powiększają się sto razy na minutę.

- Mamo - powiedział błagalnie Muminek. - Ty wiesz, że gdybym kiedykolwiek miał jakieś małe zwierzątko, które by się do mnie przywiązało, to byłoby... to... by...

- By było-try, było-rybłoby, było-frybłoby - powiedziała Mi, puszczać bańki w swojej szklance z mlekiem.

- Co takiego? - spytał Tatuś, spoglądając znad gazety.

- Muminek znalazł nowe zwierzątko - wyjaśniła Mama i zwróciła się do Muminka: - Czy gryzie?



- Jest za małe, żeby tak gryźć, żeby się to czuło - wymamrotał Muminek.

- A kiedy urośnie? - spytała Mi. - I w ogóle kiedy je pokażesz? Czy ono coś mówi?

Muminek nie odpowiedział. Znów wszystko popsuli. Powinno być tak: najpierw ma się tajemnicę, a potem robi się niespodziankę. Ale gdy mieszka się z rodziną, ani z pierwszego, ani z drugiego nigdy nic nie wychodzi. Wszystko wiedzą od początku i od początku nie ma się już z czego cieszyć.

- Po śniadaniu chcę iść nad rzekę - powiedział Muminek wolno i pogardliwie. Pogardliwie jak smok. - I, Mamo, powiedz im, żeby nie wchodzili do mojego pokoju. Nie odpowiadam za skutki.

- Dobrze - powiedziała Mama, patrząc na Mi.

- Nikomu, kto żyje, nie wolno wchodzić do pokoju Muminka.

Muminek z godnością zjadł swoją kaszę, a potem poszedł przez ogród w dół do mostu.

Włóczykij siedział przed namiotem, malując korkowy spławik, i gdy Muminek spojrział na niego, znów ucieszył się ze smoka.

- Ha - powiedział - z rodziną ma się czasem kłopoty.

Włóczykij, nie wyjmując fajki z ust, chrząknął twierdząco. Siedzieli przez chwilę, nic nie mówiąc, w męskim i przyjacielskim porozumieniu.

- Słuchaj no - rzekł nagle Muminek. - Czy w czasie swych podróży spotkałeś kiedyś smoka?

- Nie myślisz chyba o salamandrach, jaszczurkach czy krokodylach - po długim milczeniu odpowiedział Włóczykij. - Masz oczywiście na myśli smoka. Nie. Smoki się skończyły.

- Chyba - powiedział Muminek wolno - chyba że został jeszcze jeden, którego ktoś złowił do słoika.

Włóczykij podniósł wzrok i przyjrzał się Muminkowi uważnie. Zobaczył, że tamten aż pęka z zachwytu i przejęcia. Rzekł więc tylko:

- Nie sądzę, żeby tak było.

- Możliwe, że jest on nie większy od pudełka zapalek i ziele ogniem - mówił dalej Muminek i ziewnął.

- Niemożliwe - odpowiedział Włóczykij, który wiedział, jak należy reagować na niespodzianki.

Jego przyjaciel spojrział w górę, w powietrze, i rzekł:

- Smok z prawdziwego złota, z małutkimi zielonymi łapkami, taki, co może się okropnie przywiązać i iść za tobą wszędzie... - I w tym momencie Muminek podskoczył, krzyząc: - To ja go znalazłem! Znalazłem mojego własnego małutkiego smoka!

Podczas gdy wędrowali w stronę domu, Włóczykij przeszedł całą skalę niedowierzania, zdziwienia i podziwu. Był w tym niezrównany.

Wspięli się po schodach, ostrożnie otworzyli drzwi i weszli do pokoju na poddaszu.

Słój z wodą stał na swoim miejscu na stole, ale smok zniknął. Muminek zajrzał pod łóżko, za komodę, szukał wszędzie, szukał i wabił:



- Chodź, przyjacielu, mój mały, chodź, mój dzielny smoczku...

- Słuchaj - powiedział Włóczykij. - On siedzi na firance.

Smok rzeczywiście siedział na drążku od firanki.

- Jak on tam się dostał? - krzyknął Muminek; był zaniepokojony. - Co będzie, jeśli spadnie... Nie ruszaj się... Poczekaj... Nic nie mów...

Ściągnął z łóżka pościel i rozpostarł ją na podłodze pod oknem. Potem wziął siatkę na motyle Paszczaka i trzymał ją przed nosem smoka.

- Skacz! - szeptał. - Skacz, maleństwo... Hopla! Tylko spokojnie, spokojniutko...

- Wystraszysz go - rzekł Włóczykij.

Smok otworzył paszczę i parsknął. Po czym wbił zęby w siatkę i zaczął warczeć jak mały motor. Potem w jednej chwili wzbil się w powietrze i zaczął latać w kółko pod sufitem.

- On fruwa, fruwa! - krzyczał Muminek. - Mój smok fruwa!

- Naturalnie - powiedział Włóczykij. - Ale nie skacz tak. Stój zupełnie spokojnie.

Teraz smok zawisł prawie nieruchomo w powietrzu i tylko skrzydła drgały mu gwałtownie jak u ćmy. Potem

nieoczekiwanie spikował w dół, ugryzł Muminka w ucho (dość mocno, Muminek aż krzyknął), odleciał i usiadł na ramieniu Włóczykija.

Przysunął się blisko jego karku i, z zamkniętymi oczyma, zaczął mruzczyć jak kot.

- A to mały łobuz - rzekł Włóczykij zaskoczony. - Jest zupełnie gorący. Co on robi?

- Lubi ciebie - odpowiedział Muminek.

Po południu Panna Migotka wróciła z wizyty u babci małej Mi i naturalnie dowiedziała się zaraz, że Muminek znalazł smoka.

Smok siedział na stole nakrytym do podwieczorku, obok filiżanki z kawą Włóczykija, i liżał sobie łapki. Pogryzł już wszystkich z wyjątkiem Włóczykija, a ilekroć się złościł, wypalał w czymś dziurę.

- Ach, jaki on słodki! - zawołała Panna Migotka. - Jak się nazywa?

- Nie nazywa się jakoś specjalnie - odrzekł Muminek. - To jest po prostu smok.

Przesunął rękę ostrożnie przez stół, aż dotknęła złoconych nóżek. Smok natychmiast zawirował w kółko, zasyczał na niego i wyrzucił mały obłoczek dymu.

- Och, jaki on słodki! - zawołała znów Panna Migotka.

Smok przysunął się bliżej Włóczykija i powąchał jego fajkę. Na obrusie, w miejscu, gdzie siedział poprzednio, była teraz okrągła brązowa dziura.

- Ciekawa jestem, czy on potrafi wypalać dziury także w ceracie? - spytała Mama Muminka.

- Jasne! - potwierdziła mała Mi. - A kiedy trochę podrośnie, spali cały dom. Zobaczycie!

Mówiąc to, chwyciła ze stołu kawałek placka, ale smok natychmiast podleciał do niej jak mała złota furia i ugryzł ją w łapkę.

- Ach, ty diable! - krzyknęła Mi, opędzając się od smoka serwetką.

- Jeżeli będziesz mówiła w ten sposób, nie pójdziesz do nieba - powiedziała natychmiast jej siostra, a Muminek zawołał:

- To nie była wina smoka! On myślał, że masz zamiar zjeść muchę, która siedziała na placku!

- Ach, ty, z twoim smokiem! - krzyknęła Mi ze złością, gdyż ugryzienie porządnie ją zabolalo. - Zresztą, on nie jest twój - dodała. - On jest Włóczykija. Bo tylko jego lubi!

Przez chwilę panowała zupełna cisza.

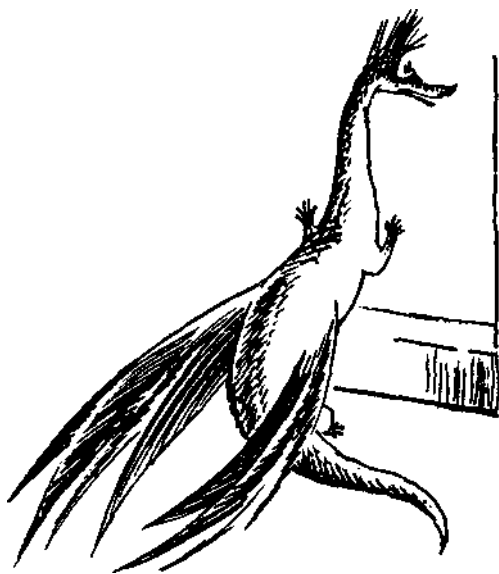
- O czym ten dzieciak gada? - spytał Włóczykij niecierpliwie, wstając. - Jeszcze parę godzin, a smok się zorientuje, do kogo należy. No, uciekaj! Leć do Muminka!

Ale smok, który znów siadł mu na ramieniu, uczepił się go teraz wszystkimi sześcioma łapkami i ani drgnął, mrużąc jak maszyna do szycia. Włóczykij wziął smoka w dwa palce i wsadził go pod kapturek na imbryk. Następnie otworzył oszklone drzwi werandy i wyszedł do ogrodu.

- Przecież on się udusi - powiedział Muminek i uchylił nieco kapturka, a smok natychmiast wyfrunął, jak błyskawica poleciał do okna i z łapkami opartymi o szybę spoglądał za Włóczykijem. Po chwili zaczął kwilić, a jego złoty kolor szarzał, aż stał się jednolicie szary - po czubek ogona.

- Smoki - powiedział nagle Tatuś - zniknęły ze świadomości ogółu mniej więcej przed siedemdziesięcioma laty. Znalazłem to w encyklopedii. Gatunkiem, który zachował się najdłużej, był gatunek emocjonalny z silną zdolnością spalania. Smoki te są niezwykle uparte i nigdy nie zmieniają zdania.

- Dziękuję za podwieczorek - powiedział Muminek i wstał. - Pójdę do siebie na górę.



- Kochanie, czy mamy zostawić twego smoka na werandzie? - spytała Mama. - Czy weźmiesz go ze sobą?

Muminek nie odpowiedział. Podszedł do drzwi i otworzył je. Aż błysnęło, kiedy smok przeciął ze świstem powietrze.

- Och! - krzyknęła Panna Migotka. - Teraz już go nie złapiesz! Po co żeś to zrobił! Nawet nie zdążyłam mu się porządnie przyjrzeć!

- Idź i poszukaj Włóczykija - rzekł Muminek z goryczą. - Siedzi u niego na ramieniu. Możesz mu się przyglądać, ile chcesz.

- Moje kochanie - powiedziała Mama Muminka ze smutkiem. - Mój mały trollu.

Włóczykij ledwo zdążył założyć przynętę, gdy nadleciał smok. Frunął falistymi liniami z zachwytem, że znów go widzi, i usiadł mu na kolanach.

- A to heca! - powiedział Włóczykij, odganiając go. - A sio! Uciekaj! Leć do domu!

Wiedział jednak, że nie zda się to na nic. Smok nigdy nie odejdzie. A jeśli dobrze sobie przypominał, smoki mogą dożyć stu lat.

Patrzył zatroskany na małe, błyszczące stworzonko, które przymilnie kręciło się przed nim.

- Pewnie, że jesteś ładny - powiedział. - Pewnie, że bym się cieszył, gdybyś był mój. Ale rozumiesz, Muminek...

Smok ziewnął. Wleciał na kapelusz Włóczykija i zwinął się do snu na jego postrzępionym rondzie. Włóczykij westchnął i zarzucił wędkę do rzeki. Wiedział, że Muminek nie ma dziś ochoty na łowienie ryb. Nowy splawik kołysał się, unoszony prądem, błyszczący

i jasnoczerwony. Bodajby Buka wzięła to wszystko...

Mijały godziny. Smok odlatywał, żeby sobie złowić parę much, i wracał na kapelusz, żeby spać. Włóczykij wyciągnął pięć płoci i jednego węgorza, którego wrzucił jednak z powrotem do wody, bo węgorz robił okropne zamieszanie.

Pod wieczór zobaczył łódź płynącą w dół rzeki. Przy sterze siedział młody Paszczak.

- Ryba bierze? - spytał.

- Tak sobie - odrzekł Włóczykij. - Daleko płyniesz?



- Dostyc - powiedział Paszczak.

- Rzuć tu cumę, dostaniesz trochę świeżych ryb - powiedział Włóczykij. - Owiń je w mokry papier gazetowy i upiecz na żarze. Wtedy na pewno będą smaczne.

- A co chcesz za to? - spytał Paszczak, który, widać, nie był przyzwyczajony do otrzymywania prezentów.

Włóczykij roześmiał się i zdjął z głowy kapelusz, na którym spał mały smok.

- Słuchaj - powiedział. - Zawieziesz go tak daleko, jak to tylko będzie możliwe, i wypuścisz w jakimś przyjemnym miejscu, gdzie jest dużo much. Kapelusz zwinięsz, żeby przypominał gniazdo, i najlepiej będzie, jeśli położysz pod jakimś krzakiem, żeby smok miał spokój.

- To jest smok? - spytał Paszczak podejrzliwie. - A on gryzie? Powiedz, a jeść daje mu się często?

Włóczykij poszedł do namiotu i wrócił, niosąc swój imbryk do kawy. Dno wymościł trawą i ostrożnie zsunął na nią śpiącego smoka. Potem nałożył przykrywkę i powiedział:

- Muchy wkładaj przez dziobek, a czasem nalej też trochę wody. I nie zwracaj uwagi, jeżeli imbryk będzie

gorący. To byłoby wszystko. Za parę dni zrobisz, co powiedziałem.

- To nie tak mało za pięć płoci - rzekł Paszczak, wybierając cumę. Łódź zaczęła sunąć z prądem.

- A nie zapomnij, co mówiłem o kapeluszu - zawołał Włóczykij. - On ma słabość do mojego kapelusza.

- Dobra, dobra! - odrzyknął Paszczak i znikł na zakręcie rzeki.

„Dostanie jeszcze za swoje! - pomyślał Włóczykij. - I właściwie dobrze mu tak”.

Muminek przyszedł nad wodę dopiero po zachodzie słońca.

- Hej! - pozdrowił go Włóczykij.

- Hej! - odpowiedział Muminek bezbarwnym głosem. - Złowiłeś jakąś rybę?

- Tak, tak - rzekł Włóczykij. - Nie usiądziesz?

- Ech, ja tylko przechodziłem tędy - wymamrotał Muminek.

Zapadła cisza. Lecz była to cisza nowego rodzaju - kłępująca i niemiła. W końcu Muminek zapytał w powietrze:

- No, a czy on świeci w ciemnościach?

- Kto taki?

- Smok, oczywiście. Pomyślałem sobie, że można by się dowiedzieć, czy takie stworzenie świeci w ciemnościach.

- Naprawdę nie wiem - odrzekł Włóczykij. - Pójdź do domu i zobacz.

- Ale ja go przecież wypuściłem! - zawołał z pasją Muminek. - I on nie przyleciał do ciebie?

- Nie, skąd - odrzekł Włóczykij, zapalając fajkę. - Takie małe smoki robią, co im przyjdzie do głowy. Raz tak, raz inaczej, a wystarczy, że taki jeden z drugim zobaczy muchę, zaraz zapomina o wszystkim. Tak to, widzisz, jest ze smokami. Nie warto się nimi przejmować.

Muminek milczał długą chwilę. Potem usiadł na trawie i powiedział:



- Może masz rację. Może to i lepiej, że on sobie odleciał. Tak. Może tak jest najlepiej. Słuchaj. Ten nowy spławik. Ładnie wygląda w wodzie, co? Czerwony.

- Dość ładnie - zgodził się Włóczykij. - Zrobię ci taki sam. Bo jutro pewnie pójdziemy na ryby?

- Naturalnie - powiedział Muminek. - To przecież jasne.



O PASZCZAKU, KTÓRY KOCHAŁ CISZĘ

Był sobie raz pewien Paszczak, który pracował w lunaparku, co przecież nie musi od razu znaczyć, że było mu wesoło. Dziurkował bilety odwiedzających lunapark, żeby nie mogli się przypadkiem zabawić więcej niż raz, a już tylko taka rzecz może przyprawić o smutek, jeśli się ją robi przez całe życie.

Paszczak dziurkował wciąż i dziurkował, i podczas tego zajęcia marzył o tym, co będzie robił, kiedy wreszcie pójdzie na emeryturę.

W razie gdyby ktoś nie wiedział, co oznaczają słowa: „pójść na emeryturę” - wypada wyjaśnić, że to jest taki

czas, kiedy można robić w całkowitym spokoju wszystko, na co ma się ochotę, byleby się było dostatecznie starym.

Przynajmniej krewni Paszczaka wytłumaczyli mu to w ten sposób.

Paszczak miał ogromnie dużo krewnych, całą masę olbrzymich i gadatliwych Paszczaków, którzy klepali się wzajemnie po plecach i wytaczali z siebie ogromne kaskady śmiechu.

Lunapark był ich wspólną własnością; poza tym grali na puzonie, rzucali młotem lub opowiadali wesołe historyjki, czyli, ogólnie rzecz biorąc, zajmowali się straszaniem wszystkich dookoła.



Nie mieli jednak złych zamiarów.

Paszczak zaś nie miał nic, bo wywodził się z bocznej linii, to znaczy był krewnym pół na pół, a ponieważ nigdy nie umiał nikomu niczego odmówić i nie czynił hałasu swoją osobą, zatrudniano go jako niańkę do dzieci, kręcił też karuzelę oraz, jak powiedzieliśmy, dziurkował bilety.

- Jesteś samotny i nie masz nic do roboty - mówili życzliwie jego krewni. - Rozruszasz się trochę, jeśli nam co nieco pomożesz, a poza tym będziesz w towarzystwie!

- Ja nigdy nie jestem samotny - próbował im tłumaczyć Paszczak. - Nie mam na to czasu. Tyle jest osób, które chcą mnie rozruszać. Przepraszam, ale ja bym tak chętnie...

- Dobrze - mówili krewni, klepiąc go po ramieniu. - Tak być powinno. Nigdy sam, zawsze na pełnych obrotach!

Paszczak dziurkował więc dalej i marzył o wielkiej, cudownej, cichej samotności, w nadziei, że postarzeje się możliwie jak najszybciej.

Karuzele kręciły się, trąby grzmiały, a Gapsy, Homki i Mible wesoło pokrzykiwały w wagonikach torpedy.



Niejaki Edward wygrał pierwszą nagrodę za tłuczenie porcelany i wokół rozmarzonego, smutnego Paszczaka tańczono, krzyczano, śmiano się i kłócono, jedzono też i pito, aż w końcu Paszczak zaczął się po prostu bać hałaśliwego tłumu, który zabawiał się w lunaparku.

Sypiał zaś w pokoju dzieciennym Paszczaków, jasnym i miłym za dnia, lecz nie najprzyjemniejszym w nocy, gdyż dzieciarnia budziła się co chwila, a on musiał je uciszać, nastawiając pozytywkę, aby zasnęły.



Potem, w ciągu dnia, zatrudniano go przy najróżniejszych drobnostkach, wszędzie, gdzie tylko potrzebna była pomocna ręka w domu pełnym Paszczaków, i miał towarzystwo aż do nocy, a wszyscy wokół byli w dobrych humorach i opowiadali, co myślą, co robią i co będą robili. Ale nigdy nie dawali mu czasu na odpowiedź.

- Czy ja będę już niedługo stary? - spytał raz Paszczak podczas obiadu.

- Stary? Ty? - wykrzyknął wesoło jego stryjasek. - Nie, jeszcze długo nie. Bądź w weselszym nastroju - każdy ma tyle lat, na ile się czuje.

- Ale ja czuję się okropnie stary - powiedział Paszczak z nadzieją.

- Tere-fere - odrzekł stryjasek. - Dziś wieczorem będziemy mieli fajerwerki, żeby się trochę rozruszać, a orkiestra dęta będzie przygrywała aż do wschodu słońca.

Ale fajerwerków nie było, natomiast spadł ogromny deszcz, który padał całą noc i nazajutrz, i następnego dnia, przez cały tydzień.

Prawdę powiedziawszy, deszcz padał bez przerwy przez osiem tygodni. Nikt nigdy w tych stronach nie słyszał o czymś podobnym.

Lunapark stracił kolor i zwiędł jak kwiat. Zbladł, zardzewiał i skurczył się - a że był zbudowany na piasku, wszystko powoli zaczęło się rozpadać.

Torpeda osiadła z westchnieniem, karuzele kręciły się wkoło w wielkich, szarych kałużach i zjeżdżały, dzwoniąc cicho, do nowych rzek, które wyżłobił deszcz.



Cała dzieciarnia - małe Homki, Mimbly, Gapsy i jak się tam jeszcze nazywały - przykładając pyszczki do szyb, patrzyła, jak lipiec przemija w deszczu i odpływa od nich wraz z muzyką i barwami.

Zwierciadła z Gabinetu Luster rozprysły się na miliony mokrych odłamków, a namokłe papierowe róże z Pawilonu Cudów płynęły przez pola. W całej okolicy rozlegało się żalosne zawodzenie dzieciarni.

Doprowadzała ona swoich tatusiów i mamy do rozpacz, dzieci bowiem nie miały co robić i tylko jęczały nad utraconym lunaparkiem.



Z drzew zwisały oklapłe proporczyki i puste powłoki balonów. Pawilon Cudów pełen był błota, a słynny krokodyl z trzema głowami wyruszył w kierunku morza, pozostawiając po sobie dwie głowy, gdyż, jak się okazało, były one przymocowane za pomocą kleju biurowego.

Paszczaków to wszystko niezwykle bawiło. Stali w oknach i, śmiejąc się, klepali nawzajem po plecach, pokazywali palcami i krzyczeli:

- Patrzcie! Płynie kurtyna z Tajemnic Arabii! A tam podłoga do tańca!

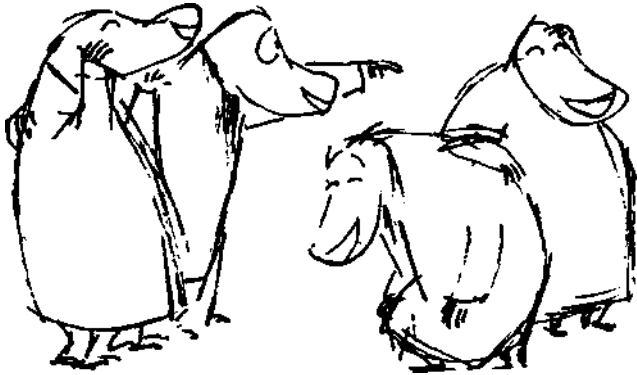
- Spójrzcie, na dachu Filifionki siedzi pięć nietoperzy z Domku Strachów! Czy to nie wspaniałe?!

Postanowili, w znakomitych humorach, uruchomić ślizgawkę, ma się rozumieć wówczas, gdy woda przemieni się w lód, i pocieszali Paszczaka, że znów będzie mógł dziurkować bilety.

- Nie! - rzekł nieoczekiwanie Paszczak. - Nie, nie, nie! Nie chcę! Chcę natomiast iść na emeryturę. I robić to, na co mam ochotę. I być absolutnie sam gdzieś, gdzie jest cicho.

- Ależ, mój kochany - powiedział ze zdziwieniem jego bratanek. - Czy mówisz poważnie?

- Tak - odrzekł Paszczak. - Każdziutkie słowo.



- Dlaczego więc nie powiedziałeś nam tego wcześniej?
- zapytali jego krewni zdumieni. - Sądziliśmy, że jest ci wesoło.

- Nie miałem odwagi - wyznał Paszczak.

Wtedy śmiali się znowu, uważając, że to okropnie komiczne, że Paszczak przez całe życie robił to, na co nie miał ochoty, tylko dlatego że nie potrafił odmówić.

- No więc, na cóż masz ochotę? - spytała jego ciotka tonem zachęty w głosie.

- Chciałbym wybudować dom dla lalek - wyszeptał Paszczak. - Najładniejszy na świecie dom dla lalek, wielopiętrowy, z ogromną liczbą pokoi, które byłyby jednakowo ciche i puste.

Wówczas Paszczaki tak zaczęły się śmiać, że aż część z nich musiała usiąść. Kuksając się nawzajem w boki, krzyczały:

- Dom dla lalek! Słyszeliście! Powiedział: dom dla lalek! - I śmiały się, wycierając łzy z oczu, i mówiły: - Ależ, kochany! Rób to, na co masz ochotę! Damy ci stary park, ten babci. Powinno tam być teraz zupełnie cicho. I możesz sobie robić, co zechcesz, i bawić się, jak ci się podoba. Życzymy powodzenia i dobrej zabawy.

- Dziękuję - powiedział Paszczak, czując skurcz w dołku. - Wiem, że zawsze mieliście wobec mnie dobre zamiary.

Marzenie o domu dla lalek z pięknymi cichymi pokojami znikło - Paszczaki przepędziły je swoim śmiechem. Właściwie nie było w tym ich winy. Zmartwiłyby się najpewniej, gdyby powiedziano im o tym. Tak. Opowiadać przedwcześnie o swoich najskrytszych tajemnicach jest czymś bardzo niebezpiecznym.

Paszczak poszedł do starego parku, który teraz był jego własnością. Klucz miał ze sobą.

Park był zamknięty i pusty od tego czasu, kiedy babcia, puszczając fajerwerki, zaproszyła ogień w domu,

a potem wyprowadziła się wraz z całą rodziną.

Było to dawno temu i Paszczak z trudnością odnajdywał drogę.

Las rozrósł się, a ścieżki zalała woda. Gdy szedł, deszcz przestał padać równie nagle, jak zaczął przed ośmioma tygodniami. Ale Paszczak tego nie zauważył. Był całkowicie pochłonięty żalem z powodu utraconych marzeń i ogromnie zmartwiony tym, że nie miał już ochoty zbudować domu dla lalek.

Po jakimś czasie spostrzegł, że między drzewami prześwituje mur. Tu i ówdzie był wyszczerbiony, lecz nadal pozostał jeszcze bardzo wysoki. Żelazna furtka zardzewiała i Paszczak z dużą trudnością otworzył zamek.

Wreszcie wszedł i zamknął furtkę za sobą. I nagle zapomniało domu lalek. Po raz pierwszy bowiem w życiu otworzył własne drzwi, a także zamknął je za sobą. Był u siebie. Nie mieszkał już u kogoś.

Deszczowe chmury z wolna rozprasały się i wyjrzało słońce. Mokry ogród parował i skrzył się wokół niego zielony i beztroski. Nikt nie przycinał tu gałęzi i nie sprzątał od bardzo dawna. Drzewa sięgały gałęziami aż



do ziemi, krzewy wspinały się na drzewa, a wśród zieleni dzwoniły strumyki, które babcia zaprojektowała w swoim czasie i kazała przekopać. Teraz nie służyły nawadnianiu, istniały same dla siebie, pozostało jednak nad nimi wiele mostków, chociaż ścieżki dawno znikły.

Paszczak pogrążył się w zielonej przyjaznej ciszy, otulał się nią, nasiąkał nią i czuł się młody jak nigdy przedtem.

„Och, jak przyjemnie być wreszcie starym i pójść na emeryturę - myślał. - O, jakże kocham moich krewnych! Szczególnie teraz, gdy nie potrzebuję o nich myśleć”.

Brodził w wysokiej błyszczącej trawie, obejmował drzewa, aż w końcu zasnął na polance w samym środku ogrodu. Tam właśnie ongiś stał dom babci. Czasy jej wspaniałych festynów z wielkimi fajerwerkami dawno się już skończyły. Rosły tu teraz młode drzewa, a na miejscu sypialni pysznił się olbrzymi krzew polnej róży z tysiącem czerwonych kwiatów.

Nadeszła noc pełna wielkich gwiazd, a Paszczak wędrował zakochany w swoim ogrodzie, tak rozległym i tajemniczym, że nawet można było w nim zabłądzić. Ale

nie miało to większego znaczenia, przez cały czas było się bowiem w domu.

Wędrował i wędrował.

Odnalazł stary sad owocowy, gdzie jabłka i gruszki leżały rozsiane po ziemi, i przez chwilę myślał: „Jaka szkoda. Nie zdołam zjeść nawet połowy. Trzeba by...” - ale potem zapomniał o tym, oczarowany samotnością i ciszą. Jego własnością było światło księżyca między pniami, zakochał się w najpiękniejszych drzewach, wiązał wieńce z liści i wkładał je na szyję, i żał mu było przespać tę pierwszą noc.

Rano zadźwięczał stary dzwonek, który jeszcze wisiał przy furtce. Paszczak zaniepokoił się. Ktoś chciał wejść z zewnątrz, ktoś czegoś chciał od niego. Ostrożnie sunął pod krzakami wzdłuż muru, starając się czynić to bez szelestu. Dzwonek odezwał się po raz drugi. Paszczak wyciągnął szyję i zobaczył zupełnie małego Homka, który stał i czekał przed furtką.

- Idź sobie! - krzyknął Paszczak. - To jest teren prywatny. Ja tu mieszkam.

- Wiem - odpowiedział mały Homek. - Paszczaki przysłały mnie tu z obiadem dla ciebie.



- Ach, tak, to miło z ich strony - powiedział pojednawczo Paszczak.

Otworzył furtkę, wziął przez szparę koszyk, po czym zamknął ją na powrót. Homek stał dalej i patrzył. Przez chwilę panowała cisza.

- No, jak ci się wiedzie? - spytał Paszczak niecierpliwie. Stał, przestępując z nogi na nogę: pragnął jak najszybciej wrócić do ogrodu.

- Źle - odpowiedział Homek szczerze. - Wszystkim wiedzie się bardzo źle. Nam, którzy jesteśmy mali. Nie mamy już lunaparku. Nic, tylko się smucimy.

- O - powiedział Paszczak, patrząc w ziemię. Nie chciał, by zmuszano go do myślenia o czymś smutnym,

ale był tak przyzwyczajony, żeby słuchać, gdy ktoś mówi, że nie mógł odejść.

- I tobie, widzę, smutno - powiedział Homek ze współczuciem. - Dziurkowałeś bilety. Ale jeśli ktoś był bardzo mały, obdarty i brudny, to dziurkowałeś w powietrzu! I pozwalałeś nam wchodzić dwa albo trzy razy na ten sam bilet!

- Tylko dlatego, że trochę niedowidzę - wyjaśnił Paszczak. - No, co? Nie idziesz jeszcze do domu?

Homek kiwnął głową, ale stał dalej. Podeszedł do furtki i wsunął pyszczek między pręty.

- Wujku - szepnął. - Mamy tajemnicę.

Paszczak przeraził się, ponieważ nie lubił cudzych tajemnic i zwierzeń. Ale Homek, wyraźnie poruszony, mówił dalej:

- Uratowaliśmy prawie wszystko. Złożone jest w szopie Filifionki. Nie masz pojęcia, jakżeśmy tyrali - ratowaliśmy i ratowali. Wymykaliśmy się w nocy i wyciągaliśmy wszystko z wody. Ściągaliśmy z drzew, suszyliśmy i doprowadzali do porządku, jak tylko się dało!

- O czym ty mówisz? - zapytał Paszczak.

- O lunaparku, oczywiście! - krzyknął Homek. - Wszystko, co zdołaliśmy znaleźć, wszystkie kawałki,

które pozostały! Czy to nie wspaniałe! Może Paszczaki poskładają części, a wtedy będziesz mógł znów dziurkować bilety.

- Och! - wymamrotał Paszczak i postawił koszyk na ziemi.

- Pięknie, co? Ale żeś się zdziwił! - powiedział Homek, po czym roześmiał się, pomachał łapką i znikł.

Nazajutrz rano Paszczak, niespokojny, czekał przy furtce i gdy pojawił się Homek z obiadem w koszyku, zaraz zawołał:

- No? Jak poszło?

- Nie chcą - odrzekł Homek; był przygnębiony. - Mają zamiar zrobić ślizgawkę. A większość z nas zasypia przecież snem zimowym. Zresztą, skąd byśmy wzięli łyżwy...

- To przykre - powiedział Paszczak i kamień spadł mu z serca.

Homek nie odpowiedział. Był zanadto rozczarowany. Postawił koszyk na ziemi i odszedł.

„Biedne dziecko” - pomyślał Paszczak. Potem zajął się rozmyślaniami nad budową szalasu z gałęzi, który miał zamiar wznieść na ruinach domu swojej babci.



Paszczak budował szafas przez cały dzień i cieszyło go to okropnie; budował, dopóki nie zrobiło się zbyt ciemno, żeby cokolwiek widzieć, i zasnął szczęśliwy i zmęczony, i spał bardzo długo następnego ranka.

Kiedy przyszedł do furtki, żeby wziąć obiad, okazało się, że Homek już tam jest. Na wieku koszyka leżał list podpisany przez całą masę dzieci.

Kochany wujku - czytał Paszczak. - Oddajemy ci wszystko, ponieważ jesteś dobry, i może będziemy mogli wejść do środka i pobawić się z tobą, ponieważ lubimy cię.

Paszczak nic nie mógł zrozumieć, ale straszne przecucie zaczęło uciskać mu żołądek.

Potem to zobaczył. Przed furtkę dzieciaki pozciągały wszystko, co znalazły w lunaparku. Nie było tego mało. Większość rzeczy była połamana i zestawiona w niewłaściwy sposób, a wszystko razem wyglądało bardzo dziwnie - i bezsensownie. Utracony, ale kolorowy świat z drewna, jedwabiu, drutu, papieru i zardzewiałego żelaza. Świat ten patrzył na Paszczaka z żalnością i oczekiwaniem, a Paszczak odpowiadał mu spojrzeniem

pełnym paniki.

W końcu wrócił do ogrodu i dalej budował swój szałas pustelnika.

Budował i budował, ale nic mu się nie udawało. Pracował niecierpliwie, w zamyśleniu. Nagle dach runął, a cały szałas położył się płasko na ziemi.

- Nie, nie - powiedział Paszczak. - Nie chcę. Akurat właśnie nauczyłem się odmawiać. Jestem na emeryturze. Robię to, na co mam ochotę. I nic poza tym. - Mówił tak



kilkakrotnie, za każdym razem coraz groźniej. Potem wstał, przeszedł na przelaj przez ogród, aby otworzyć furtkę, i zaczął wciągać wszystkie połamane graty do środka.

Dzieciarnia siedziała na wysokim, poobtlukiwanym murze wokół ogrodu Paszczaka; niby szare wróble, tyle że zupełnie cicho.

Czasem któryś szepnął:

- Co on teraz robi?

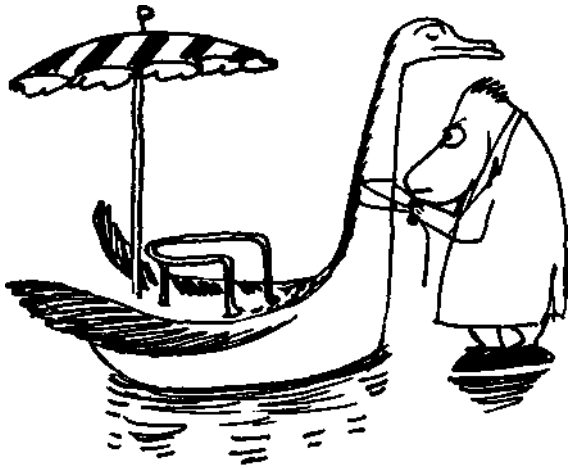
- Cicho - odpowiadał inny. - On nie chce rozmawiać.

Paszczak porozwieszał na drzewach lampiony i papierowe róże, odwracając je do pni uszkodzonymi miejscami. Potem zajął się tym, co kiedyś było karuzelą. Części jednak nie pasowały do siebie, a połowy było brak.

- Nic z tego nie będzie! - krzyknął ze złością. - Spójrzcie tylko! Wszystko to złom i rupiecie! Nie! Nie wolno wam tu wchodzić i pomagać mi!

Z muru rozległ się pomruk zachęty i sympatii, ale nikt nic nie powiedział.

Tymczasem Paszczak próbował zrobić dla siebie mieszkanie z resztek karuzeli. Potem ustawił konie



w trawie, łabędzie w strumyku, resztę zaś odwrócił do góry nogami i pracował tak, że pot zalewał mu czoło. „Dom dla lalek! - myślał z goryczą. - Szalas pustelnika! Wszystko to na nic, cała robota do luftu, będzie tylko gwałt i krzyki, jak to było przez całe życie...”.

Potem spojrzął w górę i krzyknął:

- Nie siedźcie tam i nie gapcie się! Biegnijcie do Paszczaków i powiedzcie, że jutro nie chcę obiadu. Natomiast niech mi przysłażą gwoździe i młotek, świecę, sznur i parę dwucalowych desek. I to prędko.

Dzieciaki roześmiały się zachwycone i pobiegły.

- A nie mówiliśmy - zawołały Paszczaki, klepiąc się nawzajem po plecach. - Smutno mu tam, biedakowi. Tęskni biedaczek za swoim lunaparkiem!

Posłali więc dwa razy tyle wszystkiego, o co prosił, a poza tym jedzenia na cały tydzień, dziesięć metrów czerwonego aksamitu, długie arkusze złotego i srebrnego papieru i na wszelki wypadek pozytywkę.

- Nie, nie - powiedział Paszczak - pudła z muzyką tu nie wpuszczę. I niczego, co hałasuje!

- Oczywiście, że nie - odrzekły dzieci, posłusznie stawiając pozytywkę przed furtką.

Paszczak budował i budował. A podczas gdy budował, stwierdzał mimo woli, że ta praca sprawia mu przyjemność. Na drzewach migotały tysiące odłamków luster, kołysząc się na wietrze, a wysoko na wierzchołkach Paszczak wbudował małe ławeczki i miękkie gniazdko, gdzie można było siedzieć i pić sok, nie będąc przez nikogo widzianym, lub też spać. A na mocnych konarach powiesił huśtawki.

Umieścić torpedę było bardzo trudno. Szyny musiały być trzy razy krótsze niż dawniej, bo tylko tyle z nich

zostało. Paszczak pocieszał się jednak, że teraz nikt ze zjeżdżających nie będzie miał stracha. A na zakończenie jazdy lądowało się w strumieniu, z czego przecież większość dzieci będzie zadowolona.

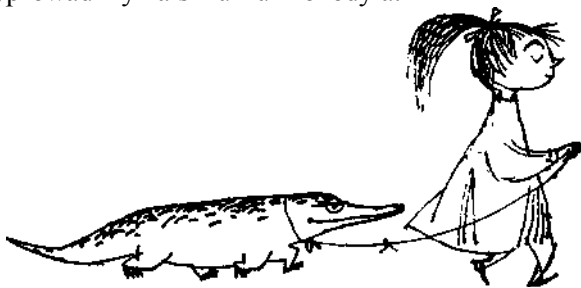
Paszczak sapał i stękał. Ilekroć ustawił jeden bok, to drugi się mu wywracał, w końcu więc krzyknął ze złością:

- Chodźcie i pomóżcie mi, który tam! Nie można przecież robić dziesięciu rzeczy naraz!

Dzieciarnia zeskoczyła z muru i przybiegła, żeby mu ten bok przytrzymać.

Od tej pory wszystko budowali razem, a Paszczaki przysyłały tyle jedzenia, że dzieci mogły przebywać w ogrodzie cały dzień.

Wieczorem szły do domu, ale o wschodzie słońca stały już wszystkie przed furtką. Któregoś ranka przyprowadziły na sznurku krokodyła.

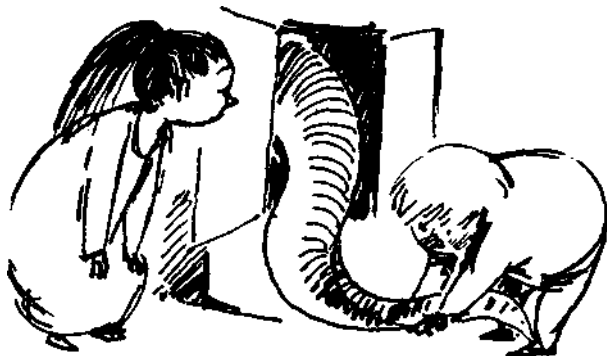


- Macie pewność, że będzie się zachowywał cicho? - spytał Paszczak podejrzliwie.

- O tak - odpowiedział Homek. - On nie mówi ani słowa. Taki jest zadowolony i spokojny, kiedy się pozbył tych swoich dodatkowych dwóch głów.

Innego znów dnia syn Filifionki znalazł węża boa w kafłowym piecu. A że był grzeczny, zabrano go zaraz do ogrodu babci.

Wszyscy zbierali różne dziwne rzeczy do lunaparku Paszczaka lub też po prostu przysyłali ciastka, rondle, firanki, cukierki i co komu przyszło na myśl. Przysyłanie przez dzieci prezentów każdego ranka stało się pewnego rodzaju manią, a Paszczak przyjmował wszystko, co nie sprawiało hałasu.



Ale nikomu poza dziećmi nie wolno było wejść do ogrodu, który stawał się coraz bardziej i bardziej fantastyczny. W samym jego środku stał zrobiony z karuzeli domek, w którym mieszkał Paszczak, pstry i krzywy, przypominający dużą kolorową torbę po cukierkach, zmiętą i rzuconą w trawę.

Wewnątrz domu rósł krzak polnej róży pełen czerwonych kwiatów.

A potem, w pewien piękny, łagodny wieczór, wszystko było zrobione. Było gotowe nieodwracalnie i Paszczaka ogarnął na chwilę żal, że się już wszystko dopełniło.

Zapalili lampiony i stali, przyglądając się swojemu dziełu.

Na wielkich ciemnych drzewach migotały odłamki lustra, srebro i złoto, wszystko stało gotowe i czekało - sadzawki, łódzie, tunele, torpeda, kiosk z sokiem, huśtawki, strzelnice, drzewa doskonałe do włożenia, jabłonie...

- Możecie zaczynać - powiedział Paszczak. - Ale pamiętajcie, że to nie jest lunapark, tylko ogród ciszy.

Dzieci bezgłośnie pograżyły się w ogród i czary. Tylko Homek odwrócił się i zapytał:



- Nie będzie ci smutno, że nie możesz dziurkować biletów?

- Nie - odpowiedział Paszczak. - Ja bym przecież i tak dziurkował tylko w powietrzu.

Wszedł do karuzeli i zapalił księżyc z Pawilonu Cudów. Potem położył się w hamaku Filifionki i przez dziurę w dachu patrzył na gwiazdy.

Na zewnątrz panowała cisza. Słyszał tylko strumyki i nocny wiatr.

Nagle Paszczak zaniepokoił się. Usiadł i zaczął nasłuchiwać. Nie dobiegł go żaden dźwięk.

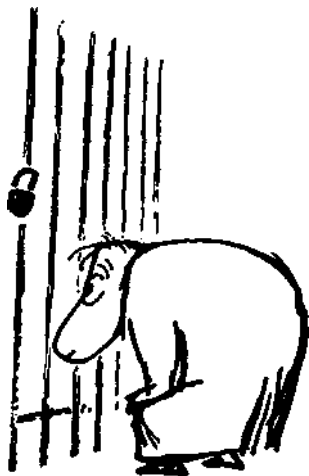


„Może im nie jest wesoło - pomyślał zatroskany. - Może nie potrafią się bawić, jeśli się nie drą wniebogłosy... Może poszły do domu!”.

Wskoczył na komodę Gapsy i wytknął głowę przez dach.

Nie, dzieci są. Cały ogród szeleścił i roił się tajemniczym życiem. Zewsząd rozlegało się chlupotanie, cichy śmiech, plaśnięcia, odgłosy kroków. Więc jednak było im wesoło.

„Jutro - pomyślał Paszczak. - Jutro powiem im, że wolno się śmiać i że mogą ponucić sobie trochę, jeśli



będą miały na to ochotę. Ale nic więcej. Absolutnie nic więcej”.

Zszedł z komody i znów położył się w hamaku. Zasnął szybko, nie troszcząc się już o nic.

Przed zamkniętą na klucz żelazną furtką stał stryjasek Paszczaka, usiłując zajrzeć do środka.

„Nie słychać, żeby się szczególnie dobrze bawili - pomyślał. - Ale jak sobie kto pościele, tak się wyśpi. A mój biedny bratanek zawsze był trochę dziwny”.

I odszedł, zabierając ze sobą pozytywkę, ponieważ zawsze kochał muzykę.



OPOWIADANIE O NIEWIDZIALNYM DZIECKU

W pewien ciemny i dżdżysty wieczór rodzina Muminków siedziała wokół stołu na werandzie i przebierała grzyby. Cały stół przykryty był papierem gazetowym, a pośrodku stała lampa naftowa. Lecz kąty werandy pogrążone były w cieniu.

- Mi znów nazbierała purchawek - powiedział z wyrzutem Tatuś Muminka. - Zeszłego roku zbierała muchomory.

- Miejmy nadzieję, że w przyszłym roku zbierać będzie kurki albo co najmniej maślaki - odezwała się pojednawczo Mama.

- Dobrze jest mieć nadzieję - zauważyła mała Mi i zachichotała.

Pracowali dalej w ciszy pełnej spokoju.

Nagle usłyszeli kilka lekkich uderzeń w szybę, po czym na werandę weszła Too-tiki, strząsając wodę z płaszcza przeciwdeszczowego. Następnie wyjrzała za drzwi i zawołała w mrok:

- Chodź, chodź!

- Kogo przyprowadziłaś? - spytał Muminek.

- To Nini - odrzekła Too-tiki. - Dzieciak ma na imię Nini.



Trzymała w dalszym ciągu otwarte drzwi i przez chwilę czekała.

Nikt jednak się nie pojawił.

- No, dobrze - powiedziała Too-tiki i wzruszyła ramionami. - Niech siedzi na dworze, jeśli jest taka nieśmiała.

- Ale czy ona nie zmoknie? - zapytała Mama Muminka.

- Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, jeśli się jest niewidzialną - odparła Too-tiki. Podeszła do stołu i usiadła.

Wszyscy przestali przebierać grzyby, czekając na wyjaśnienie.

- Wiecie przecież, jak łatwo stać się niewidzialnym, kiedy się jest bardzo wystraszonym - powiedziała Too-tiki, zjadając pieczarkę podobną do śnieżnej kulki. - No więc, tę Nini wystraszyła w zupełnie niewłaściwy sposób jej ciotka, która wzięła ją pod opiekę, ale jej nie lubiła. Ciotkę poznałam - jest okropna. Nie jest zła, to można by jeszcze zrozumieć. Tylko zimna jak lód i ironiczna.

- Co to znaczy ironiczna? - spytał Muminek.

- Wyobraź sobie, na przykład, że pośliznąłeś się na maślaku i siadłeś prosto w oczyszczone grzyby

- wyjaśniła Too-tiki. - Byłoby naturalne, oczywiście, gdyby twoja Mama się rozgniewała. Ale nie, nie gniewa się. Natomiast mówi zimnym, miążdżącym tonem: „Rozumiem, że lubisz ślizgawkę, ale byłabym ci wdzięczna, gdybyś się ślizgał z daleka od jedzenia”. Tak mniej więcej.

- Oj, jak nieprzyjemnie - powiedział Muminek.

- Prawda? - zgodziła się Too-tiki. - Właśnie w ten sposób postępowała ta ciotka. Była ironiczna od rana do wieczora, aż w końcu kontury dziecka zaczęły blednąć i zacierać się. W ubiegły piątek już wcale jej nie było widać. Wtedy ciotka oddała ją mnie, mówiąc, że nie może zajmować się krewnymi, których w ogóle nie widzi.

- A co zrobiłaś z ciotką? - spytała Mi z największym zaciekawieniem. - Stłukłaś ją?

- Tego rodzaju postępowanie nie ma znaczenia w stosunku do osób ironicznych - odrzekła Too-tiki. - Wzięłam więc Nini do siebie do domu. A teraz przyprowadziłam tu, żebyście ją znów zrobili widzialną.

Nastąpiła krótka przerwa.

Tylko deszcz biło dach werandy. Wszyscy patrzyli na Too-tiki i myśleli.

- Czy ona mówi? - zapytał Tatuś.

- Nie. Ale ciotka zawiązała jej na szyi dzwoneczek, żeby wiedzieć, gdzie ona jest.

Too-tiki wstała i znowu otworzyła drzwi.

- Nini! - zawołała w mrok.

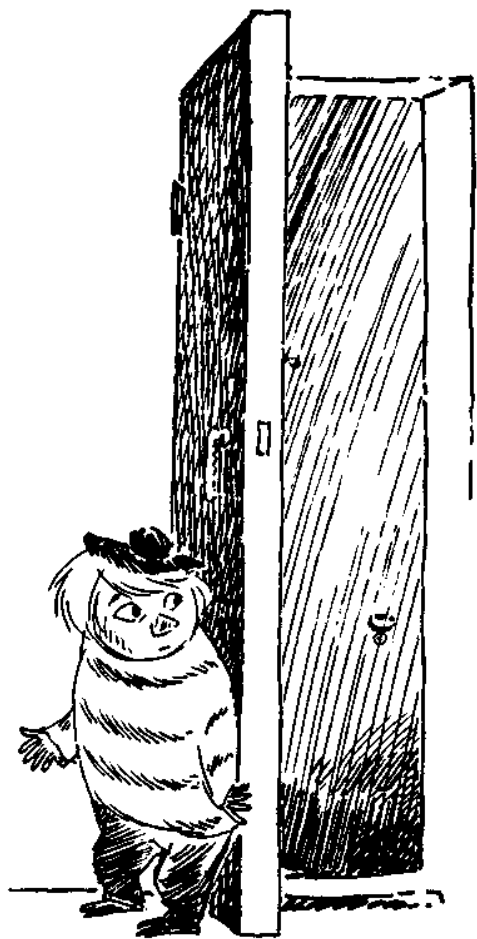
Chłodny i wilgotny zapach jesieni wpłynął na werandę, a na mokrą trawę padł prostokąt światła. Po chwili na dworze rozległ się dźwięk dzwonka. Słaby i pełen wahania, zabrzmiał na schodach, a potem umilkł i nisko nad podłogą widać było w powietrzu srebrny dzwoneczek wiszący na czarnej tasiemce. Nini musiała mieć bardzo cieniutką szyję.

- Więc jesteś - powiedziała Too-tiki. - Oto twoja nowa rodzina. Jest trochę zwariowana, ale w ogóle to bardzo sympatyczna.

- Dajcie dziecku krzesło - powiedział Tatuś i spytał: - Czy ona potrafi przebierać grzyby?

- Ja nic o niej nie wiem - odrzekła Too-tiki. - Przyprowadziłam ją tylko. Mam teraz kupę innych zajęć. Zajrzyjcie któregoś dnia i dajcie znać, jak wam idzie. Hej!

Gdy Too-tiki wyszła, rodzina Muminków siedziała w zupełnym milczeniu, spoglądając na puste krzesło



i srebrny dzwoneczek. Po jakimś czasie jeden z prawdziwków wolno uniół się w powietrze. Niewidzialne łapki oczyściły go z igliwia i ziemi, a potem grzyb został pokrajany na drobne kawałki i wrzucony do salaterki. Z kolei drugi grzyb uniół się w powietrze.

- Strasznie emocjonujące! - powiedziała Mi, której to ogromnie zaimponowało. - Spróbujcie dać jej coś do jedzenia.

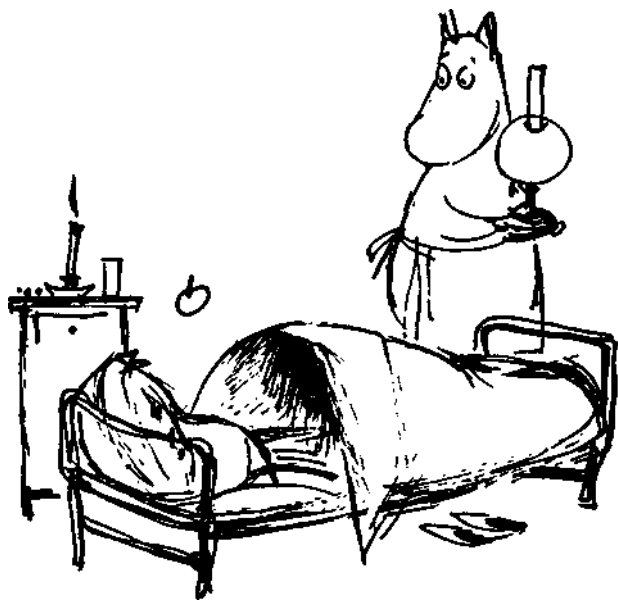
Chciała zobaczyć, czy będzie widać, jak jedzenie zjeżdża do żołądka.

- Co, na litość boską, należy zrobić, żeby znowu była widzialna?! - wybuchnął Tatuś zatroskany. - Czy nie powinno się pójść z tym do lekarza?

- Nie sądzę - odpowiedziała Mama. - Może ona chce być niewidzialna przez jakiś czas. Too-tiki mówiła, że jest bardzo nieśmiała. Myślę, że najlepiej zostawić dziecko w spokoju, dopóki coś się nie zmieni.

Tak też zrobili.

Mama posłała Nini we wschodniej izbie na poddaszu, która właśnie stała pusta. Srebrny dzwoneczek dzwonił, kiedy szła na górę po schodach, przypominając Mamie kota, który kiedyś u nich mieszkał. Obok łóżka Mama



położyła jabłko, szklanę z sokiem i trzy cukierki w paski, które każdy otrzymywał wieczorem. Potem zapaliła świecę i powiedziała:

- Teraz, Nini, śpij! Spij jak najdłużej! Twoją poranną kawę przykryję kapturkiem, żeby była gorąca. A jeśli będziesz się bała albo będzie ci czegoś potrzebna, to zejdz na dół i zadzwoń dzwoneczkiem.

Mama spostrzegła, że kołdra uniosła się, a potem utworzyła małe wzniesienie. Na poduszce powstał dołek. Wtedy zeszła do siebie na dół i odnalazła stare zapiski babci pod tytułem: SKUTECZNA KURACJA DOMOWA: „Ból oczu”, „Środki przeciw melancholii”, „Angina”. Nie. Mama dalej wertowała zeszyt. W końcu znalazła zapisek, który babcia zrobiła bardzo już drżącą ręką. „Na wypadek, gdyby znajomi stali się mgliści i trudno widzialni”. No, tak. Jest, Bogu dzięki. I Mama przeczytała receptę, która była zresztą dość skomplikowana. Potem zajęła się przygotowaniem kuracji domowej dla małej Nini.

Dzwonek schodził ze schodów, dzwoniąc krok za krokiem, z małą przerwą po każdym stopniu.

Muminek czekał na to przez cały ranek. Ale to nie srebrny dzwoneczek był dziś sprawą najbardziej emocjonującą. Były nią łapki. Łapki Nini schodzące ze schodów, bardzo małe, o lekliwych paluszkach, które trzymały się mocno razem. Widać było tylko łapki, co wyglądało strasznie.

Muminek schował się za piec i patrzył jak zaczarowany na te łapki, które wyszły na werandę. Teraz

Nini piła kawę: filiżanka sunęła w górę i opuszczała się. Jadła chleb z masłem i marmoladą. Potem filiżanka wyjechała sama do kuchni, gdzie została umyta i wstawiona do szafki. Nini była bardzo porządnym dzieckiem.

Muminek wybiegł do ogrodu, krzycząc:

- Mamusiu, ona ma łapki! Widać łapki!

„Tak też sądziłam - pomyślała Mama, zrywając jabłka z jabłoni. - Babcia znała się na rzeczy. Jeżeli ta kuracja domowa zaczyna działać, jesteśmy na dobrej drodze”.

- Doskonale - powiedział Tatuś. - A jeszcze lepiej będzie, gdy pokaże swój pyszczek. Czuję się przybity, rozmawiając z kimś, kogo nie widać. I kto nie odpowiada.

- Ciicho - powiedziała Mama ostrzegawczo.

W trawie wśród opadłych jabłek stały malutkie łapki Nini.

- Hej, Nini! - zawołała Mi. - Spałeś jak suseł. Kiedy pokażesz pyszczek? Pewnie wyglądasz jak kupka nieszczęścia, skoro zrobiłaś się niewidzialna.

- Cicho - szepnął Muminek. - Słuchaj, ty ją obrażasz. Będzie jej przykro.



Podszedł do Nini i powiedział:

- Nie zwracaj uwagi na Mi, ona jest nieczuła. Możesz się czuć zupełnie pewna tu u nas. Nawet nie myśl o tej okropnej ciotce. Ona tu nie może przyjść, żeby cię zabrać...

W tej samej chwili łapki Nini prawie całkiem znikły i ledwo je można było odróżnić od trawy.

- Kochanie, jesteś osioł - powiedziała Mama rozgniewana. - Powinieneś rozumieć, że nie można dziecku o tym przypominać. Zbieraj jabłka i bądź miły.

Zbierali jabłka. Łapki Nini stopniowo stały się znów widoczne i wlażyły na drzewo.

Był piękny jesienny poranek, w cieniu marzło się trochę w nos, ale w słońcu było niemal lato. Wszystko

lśniło od wilgoci po nocnym deszczu i miało soczyste barwy. Kiedy jabłka zostały zerwane lub strząśnięte, Tatusь przyniósł największą maszynkę do mielenia i zabrali się robienia musu. Muminek kręcił, Mama nakładała, a Tatusь wnosił pełne słoiki na werandę. Mała Mi siedziała na drzewie i śpiewała Wielką Pieśń Jabłkową.

Nagle coś brzęknęło.

Na samym środku ścieżki ogrodowej leżała góra musu nadzianego odłamkami szkła, a tuż obok widać było łapki Nini, które gwałtownie zbladły i znikły.

- Tak - powiedziała Mama. - To był właśnie ten słoik, który zwykle dajemy trzmielom. Tym razem jednak nie będziemy musieli nosić go na łąkę. Babcia zawsze mówiła, że jeżeli się chce, żeby coś urosło z ziemi, to pod jesień trzeba dać jej prezent.



Łapki Nini znowu stały się widoczne, a nad nimi zobaczyli parę cienkich nóg. Wyżej niewyraźnie rysował się brzeg brązowej sukienki.

- Widzę nogi! - krzyknął Muminek.

- Gratulacje! - powiedziała kąśliwie mała Mi z jabłoni.

- Ale dlaczego musisz chodzić w sukience, która jest brązowa jak tabaka, to tylko chyba jedna Buka wie.

Mama pokiwała głową i pomyślała o swojej mądrej babci i o jej kuracji domowej.

Nini dreptała za nimi przez cały dzień. Przyzwyczaili się do dzwoneczka, który dzwonił wszędzie, gdziekolwiek szli, i nie widzieli w tym już nic nadzwyczajnego.

Wieczorem niemal o niej zapomnieli. Ale gdy wszyscy położyli się spać, Mama wyjęła z szuflady różowy szal i uszyła z niego małą sukienkę. Gdy była gotowa, zaniosiła ją na górę do wschodniej izby na poddaszu (świeca już była zgaszona) i ostrożnie rozpostarła na poręczy krzesła. Potem z resztki materiału obrębiła szeroką wstążkę do włosów.

Mamę okropnie bawiła ta robota. Było tak, jakby znów szyła sukienki dla lalek. A najśmieszniejsze, że nikt nie

wiedział, czy lalka ma żółte włosy, czy czarne.

Nazajutrz Nini miała na sobie nową sukienkę. Była widzialna aż po szyję, a gdy zeszła na śniadanie, dygnęła i pisnęła:

- Dziękuję bardzo.

Rodzina Muminków osłupiała. Poczuli się do tego stopnia speszeni, że zupełnie nie wiedzieli, co



odpowiedzieć. Poza tym nie bardzo było wiadomo, gdzie patrzeć, gdy się rozmawiało z Nini. Naturalnie, starano się spoglądać trochę powyżej dzwoneczka, gdzie, jak należało przypuszczać, były oczy Nini. Ale nagle spojrzenie zsuwało się w dół, aby zatrzymać się na czymś, co było widzialne. A to nie było grzeczne.

Tatusz chrząknął.

- Bardzo nas cieszy - zaczął - że Nini dziś więcej widać. Im więcej ją widać, tym bardziej jesteście radzi...

Mi roześmiała się głośno i zaczęła stukać łyżką o stół.

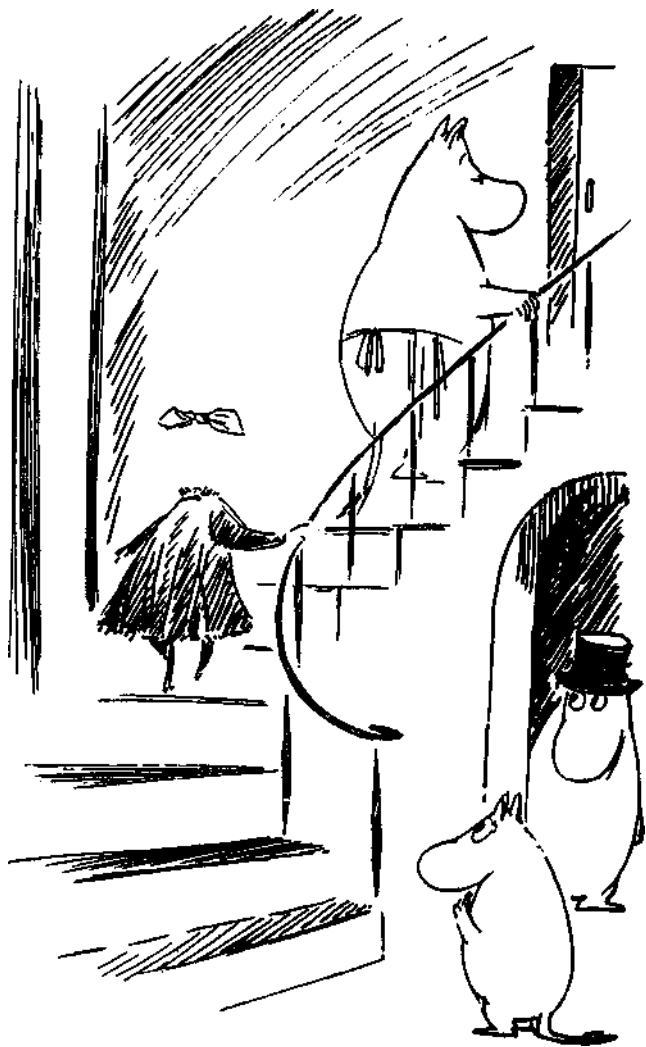
- To dobrze, że zaczęłaś mówić - powiedziała. - Jeżeli w ogóle masz coś do powiedzenia. A może znasz jakieś dobre gry?

- Nie - pisnęła Nini. - Ale słyszałam, że są tacy, co się bawią w różne gry.

Muminek był oczarowany.

Postanowił nauczyć Nini wszystkich gier, jakie tylko znał.

Po śniadaniu zeszli we trójkę nad rzekę, żeby nauczyć Nini różnych gier. Ale Nini okazała się zupełnie niemożliwa. Dygała i kłaniała się, i mówiła z powagą



„oczywiście”, „ach, jak miło” i „naturalnie”, ale miało się przy tym pewność, że bawi się z grzeczności, a nie dla samej zabawy.

- No, biegnij, biegnij! - krzyczała Mi. - Czy nie umiesz nawet skakać?

Cienkie nóżki Nini biegały i skakały posłusznie. Potem znów stała nieruchomo, zwiesiwszy ramiona. Puste wycięcie sukienki nad dzwoneczkiem wyglądało bezradnie.

- Czy myślisz, że to się może komuś podobać? - krzyczała Mi. - Czy ty nie masz w ogóle życia w sobie? Chcesz, żebym cię stłukła, co?

- Raczej nie - odpowiedziała Nini z pokorą.

- Ona nie potrafi się bawić - wymamrotał Muminek; był rozczarowany.

- Ona nie potrafi się nawet rozzłościć - powiedziała Mi. - W tym tkwi całe nieszczęście. Słuchaj - mówiła dalej, pochodząc blisko do Nini i patrząc na nią groźnie. - Nigdy nie będziesz miała własnej twarzy, dopóki nie nauczysz się bić. Możesz mi wierzyć.

- Tak, oczywiście - zgodziła się Nini, cofając się ostrożnie.

Poprawy jednak nie było.



W końcu zaniechali prób nauczenia Nini, jak się bawić. Wesółych historyjek także nie lubiła. Nie śmiała się nigdy we właściwym miejscu. Nie śmiała się w ogóle. Opowiadający czuł się zbity z tropu. Dali jej zatem spokój.

Dni mijały, a Nini nadal była bez twarzy. Przywykli do widoku jej różowej sukienki zawsze wędrującej za Mamą Muminka. Wystarczyło, że Mama stanęła, a srebrny dzwoneczek przestawał dzwonić, jeśli szła dalej, odzywał się znowu. Nieco nad sukienką chwiała się w powietrzu duża różowa kokarda. Wyglądało to dość dziwnie.

Mama aplikowała Nini kurację domową babci, ale bezskutecznie. Dała więc spokój. Pomyślała, że i dawniej

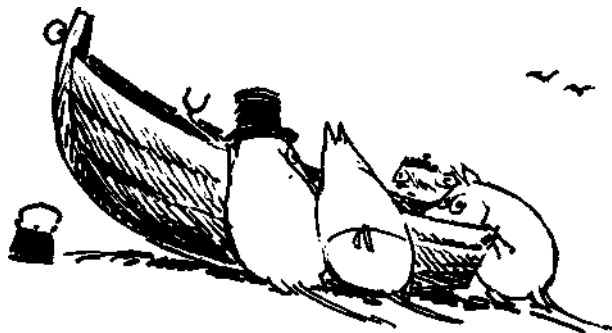
ludzie dawali sobie radę bez głowy i że może Nini nie jest szczególnie ładna.

Obecnie każdy wyobrażał sobie sam, jak Nini wygląda, a to mogło nawet dodawać uroku znajomości.

Któregoś dnia rodzina Muminków wybrała się nad brzeg morza, aby przed zimą wyciągnąć łódź z wody. Nini dzwoniła za nimi jak zwykle, ale gdy przyszli nad brzeg, stanęła w miejscu. Następnie położyła się na brzuchu w piasku i zaczęła płakać.

- Co jest z Nini? - spytał Tatuś. - Czy ona się czegoś boi?

- Może nigdy przedtem nie widziała morza - odparła Mama.



Pochyliła się i zaczęła szeptać z Nini. Potem wyprostowała się i powiedziała:

- Tak, Nini widzi morze po raz pierwszy. Uważa, że jest za duże.

- Ze wszystkich idiotycznych dzieci... - zaczęła mała Mi, ale Mama spojrzała na nią surowo, mówiąc:

- Sama jesteś idiotyczna. No, a teraz wyciągajmy łódź.

Weszli na pomost prowadzący do kabiny kąpielowej, w której mieszkała Too-tiki, i zapukali.

- Hej! - powitała ich Too-tiki. - Jak wam idzie z tym niewidzialnym dzieckiem?

- Tylko pyszczka brakuje - odrzekł Tatuś. - W tej chwili jest nieco poruszona, ale to pewnie przejdzie. Czy możesz nam trochę pomóc z łódką?

- Jasne - powiedziała Too-tiki.

Gdy łódź została wyciągnięta i leżała odwrócona kilem* do góry, Nini zeszła na brzeg i stanęła nieruchomo na piasku. Nie zwracali na nią uwagi.

Mama siadła na mokrym pomoście i spoglądała w dół na wodę.

* Kil - belka biegnąca wzdłuż całego dna łodzi.

- Och, jaka zimna z wyglądu! - powiedziała. Po czym ziewając, dodała, że dawno już nie zdarzyło się nie emocjonującego.

Tatus mrugnął do Muminka, zrobił okropny grymas i zaczął powoli skradać się do Mamy za jej plecami.

Nie miał, oczywiście, zamiaru wrzucić Mamy do morza, jak wtedy, kiedy była młoda. Może nawet nie miał zamiaru jej przestraszyć i chciał tylko rozweselić dzieci.

Zanim jednak zdążył się przybliżyć, usłyszano ostry krzyk, czerwona błyskawica przebiegła pomost i Tatus wrzasnął dziko, a jego kapelusz spadł do morza. To Nini wbiła swoje małe niewidzialne ząbki w ogon Tatusia, a były one dość ostre.

- Brawo! Brawo! - krzyknęła Mi. - Sama nie zrobiłabym tego lepiej!

Na pomoście stała cała Nini. Pod rudą grzywką miała drobną, zagniewaną twarz z zadartym noskiem. Fukąła na Tatusia jak kot.

- Nie ośmielisz się wrzucić jej do tej wielkiej, okropnej wody! - krzyczała.

- Widać ją! Widać! - wołał Muminek. - Ona jest śliczna.

- Istne cudo - powiedział Tatuś, oglądając swój pogryziony ogon. - To jest najgłupsze, najbardziej zwariowane, najgorzej wychowane dziecko, jakie kiedykolwiek widziałem, z głową czy bez!

Położył się na pomoście, starając się łaską wyłowić swój kapelusz. I nagle pośliznął się i zjechał prosto do wody, głową w dół.

Potem opierając się o dno, wstał szybko - z pyszczkiem nad wodą i uszami pełnymi błota.

- O! - krzyczała Nini. - O, jakie to cudowne! Jakie śmieszne!

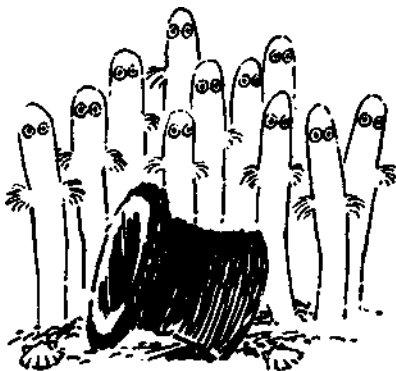


I tak się śmiała, że aż cały pomost dygotał.

- Ona podobno dawniej nigdy się nie śmiała -
powiedziała Too-tiki zdumiona. - Uważam, żeście tak
zmienili dzieciaka, że jest gorsza niż mała Mi. No, ale
najważniejsze, że ją widać.

- To wyłącznie zasługa babci - odpowiedziała Mama.





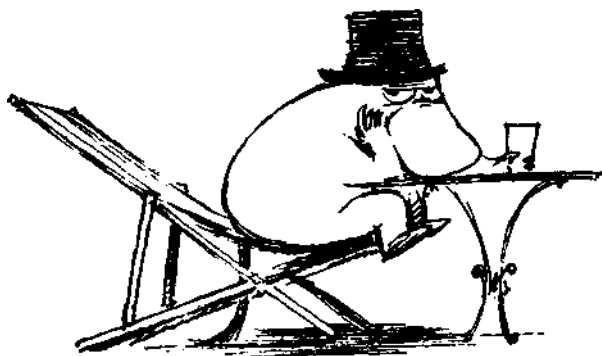
TAJEMNICA HATIFNATÓW

Było to w owym czasie, dawno temu, kiedy Tatuś Muminka, niczego nie wyjaśniając, opuścił dom i sam nawet nie wiedział, dlaczego musiał tak postąpić.

Mama powiedziała potem, że przez długi czas był dziwny, ale najprawdopodobniej nie był dziwniejszy niż zwykle. Bo zazwyczaj tak się mówi, kiedy się jest skłopotanym i smutnym, i kiedy chce się znaleźć jakieś wytłumaczenie na pociechę.

Nikt dobrze nie wiedział, kiedy się wymknął.

Włóczykij twierdził, że Tatuś miał zamiar zarzucić z Paszczakiem sieci na ukleje, Paszczak zaś mówił, że



Tatuś siedział jak zwykle na werandzie, a potem rzekł nagle, że jest gorąco i trochę nudno, i że właściwie trzeba zreperować pomost. W każdym razie Tatuś pomostu nie zreperował, gdyż był tak samo krzywy jak dawniej, a łódź stała na swoim zwykłym miejscu.

Dokądkolwiek więc się udał, poszedł pieszo, a mógł, oczywiście, pójść w wielu kierunkach i żadne poszukiwania nie miały sensu.

- Wróci we właściwym czasie - powiedziała Mama Muminka. - Jak dotąd, za każdym razem wracał, więc i teraz wróci.

Nikt się nie niepokoił i to było dobre. Postanowili, że nigdy nie będą się niepokoić o siebie nawzajem; w ten

sposób wszyscy mieli czyste sumienie i każdy tyle swobody, na ile to było możliwe.

Tak więc Mama Muminka, nie robiąc większego hałasu, zaczęła nową robotę na drutach, a Tatuś tymczasem z niejasnym zamysłem w głowie wędrował gdzieś w kierunku zachodnim.

Zamysł ten wiązał się z pewnym półwyspem, który Tatuś widział swego czasu podczas wycieczki. Półwysep wybiegał prosto w morze, niebo było żółte, a pod wieczór zerwał się wiatr. Nigdy nie dotarł dalej, aby zobaczyć, co było po drugiej stronie półwyspu. Rodzina chciała wracać do domu, żeby napić się herbaty. Zawsze w nieodpowiedniej chwili chciała wracać do domu, ale Tatuś został na brzegu i patrzył na morze. I właśnie wówczas kilka małych, białych łodzi żaglowych śmignęło wzdłuż lądu i pomknęło prosto ku horyzontowi.

- To Hatifnatowie - wyjaśnił usłużnie jakiś Paszczak i w ten sposób wszystko zostało powiedziane. Z odcieniem lekceważenia, z pewną czujnością i wyraźną dezaprobatą. Oni byli poza ich światem, w jakiś sposób niebezpieczni, inni.

I wówczas Tatusia ogarnęła nieodparta tęsknota i melancholia. Jedyłą sprawą, co do której miał pewność,

było to, że nie chce pić herbaty na werandzie. Ani tego wieczoru, ani żadnego innego.

Wydarzenia te miały miejsce dawno temu, ale obraz łodzi pozostał. Tatuś wymknął się któregoś pięknego popołudnia...

Było gorąco. Szedł na chybił trafił.

Nie zastanawiał się, szedł w kierunku zachodu słońca, mrużąc oczy pod kapeluszem i gwizdząc jakąś nieszczególną melodię.

Pagórki biegły w górę i w dół, drzewa wędrowały do tyłu, a cienie, w miarę jak szedł, stawały się coraz dłuższe.

Kiedy słońce poczęło tonać w morzu, Tatuś wyszedł na długi, zasypany żwirem brzeg morski, gdzie nie było już żadnej drogi i dokąd nikt nie robił wycieczek.

Nigdy przedtem nie widział tego smutnego i szarego brzegu, który właściwie nie oznaczał nic innego poza



tym, że tu właśnie kończy się ląd, a zaczyna się morze. Tatuś zszedł aż do samej wody i patrzył w dal.

I naturalnie - jakżeby inaczej - wzdłuż lądu podpływała właśnie wolno mała, biała łódź popychana podmuchami wiatru.

- Oto są - powiedział Tatuś spokojnie i zaczął machać łapką.

Na pokładzie znajdowało się tylko trzech Hatifnatów, równie białych jak łódź i jak żagiel. Jeden siedział przy sterze, dwóch opartych plecami o maszt. Wszyscy trzej patrzyli na morze i wyglądali tak, jakby pokłócili się ze sobą. Ale Tatuś słyszał, że Hatifnatowie nigdy się nie kłócą i że są milczkami z usposobienia, a interesuje ich tylko jedno: żeby płynąć dalej, tak daleko, jak to tylko możliwe. Najchętniej aż do horyzontu albo na koniec świata, co przypuszczalnie na jedno wychodzi. Tak przynajmniej twierdzono. Mówiono również, że Hatifnatowie nie myślą o niczym innym jak tylko o sobie i że elektryzują się w czasie burzy, jak również, iż są niebezpieczni dla tych wszystkich, którzy mieszkają w salonach i na werandach i którzy o pewnych porach dnia robią zawsze to samo.

Wszystko to bardzo interesowało Tatusia, ale że nie sposób było mówić o Hatifnatach inaczej, niż tylko zdając się na domysły, nigdy więc nie dowiedział się, jak właściwie sprawy wyglądały.

Czuł gęsią skórkę aż do końca ogona teraz, gdy patrzył w napięciu na łódź, która podpływała coraz bliżej i bliżej. Nie machali do niego - jakżeby Hatifnatowie mogli robić coś tak prostego - ale przybywali, żeby go zabrać; to było widoczne. Łódź z lekkim trzaskiem wjechała na żwir i stanęła.

Hatifnatowie spojrzeli na Tatusia Muminka okrągłymi, bladymi oczyma. Tatuś zdjął kapelusz i zaczął się tłumaczyć. Kiedy mówił, Hatifnatowie machali łapkami do taktu i Tatuś się zmieszał, zaplątał w długim zdaniu o horyzontach i werandach, o wolności, a także o prawie do niepicia herbaty, kiedy się na to nie ma ochoty. W końcu umilkł zawstydzony, a Hatifnatowie przestali machać łapkami.

„Dlaczego oni nic nie mówią? - myślał Tatuś nerwowo. - Czy nie słyszą mnie, czy też uważają, że plotę głupstwa?”

Wyciągnął łapkę, wydając przyjazne, pytające pisknięcie, ale Hatifnatowie ani drgnęli. A ich oczy zrobiły się żółte.

Wtedy Tatuś cofnął łapkę i, zbity z tropu, uklonił się nieśmiało.

Wówczas Hatifnatowie wstali i uklonili się uroczyście, wszyscy trzej naraz.

- Bardzo mi miło - powiedział Tatuś.

Nie czynił już jednak dalszych prób wytłumaczenia im czegokolwiek, wszedł po prostu do łodzi i zaraz odbili od brzegu. Niebo było teraz równie jaskrawożółte jak wtedy - dawno temu. Łódź powoli wypłynęła w morze.

Tatuś Muminka nigdy nie czuł się tak spokojny i tak absolutnie zadowolony ze wszystkiego. Właściwie było bardzo przyjemnie nic nie mówić i nic nie tłumaczyć ani sobie, ani też innym. Wystarczyło siedzieć i patrzeć na horyzont, i słuchać plusku fal przy burtach łodzi.

Kiedy brzeg znikł za nimi, na niebo wszedł księżyc w pełni, krągły jak kula i żółty. Tatuś nigdy jeszcze nie widział tak dużego i tak samotnego księżyca. Nigdy też nie zdawał sobie sprawy z bezkresu morza, z jego ogromu, który teraz oglądał.

Nagle wydało mu się, iż jedynymi prawdziwymi i przekonującymi rzeczami były księżyc, morze i łódź z trzema milczącymi Hatifnatami.

I horyzont, oczywiście - daleki horyzont, gdzie czekały wspaniałe przygody i nieznanne tajemnice, teraz, kiedy nareszcie był wolny.

Postanowił być równie milczący i tajemniczy jak Hatifnatowie. Milczenie prawdopodobnie wzbudzało ogólny szacunek. Wszyscy myśleli wówczas, że się wie bardzo dużo i żyje się ogromnie emocjonująco.

Tatuś patrzył na Hatifnatów, którzy sterowali w świetle księżyca. Miał ochotę powiedzieć im coś przyjaznego, coś, co wskazywałoby, że rozumie. Ale dał temu spokój. Nie mógł wymyślić nic, co brzmiałoby dostatecznie... no, dostatecznie dobrze.

Co to Mimbla mówiła o Hatifnatach? Kiedyś przy obiedzie, na wiosnę. Że żyją niedobrym życiem. A Mama Muminka powiedziała: „Ech, co ty wygadujesz?” - ale Mi ogromnie się tym zainteresowała i chciała wiedzieć, na czym to polega. Jeżeli Tatuś sobie przypominał, nikt nie umiał powiedzieć, na czym polegało to niedobre życie. Prawdopodobnie oznaczało, najogólniej rzecz biorąc, że jest się dzikim i wolnym.

Mama powiedziała przy tym, iż nie sądzi, aby było przyjemnie żyć niedobrym życiem, ale Tatuś nie był tego

pewien. „To ma jakiś związek z elektrycznością - powiedziała Mimbla z głębokim przekonaniem. - Poza tym potrafią czytać myśli innych, a to nie jest w porządku”. Potem rozmowa zesłała na inny temat.

Tatuś rzucił szybkie spojrzenie na Hatifnatów. Znowu machali łapkami. „Okropność - pomyślał. - Czy to możliwe, że odczytują moje myśli łapkami? I teraz, oczywiście, obrazili się...”. Z rozpaczą starał się wygładzić swoje myśli, przepędzić z nich wszystko, co kiedykolwiek słyszał o Hatifnatach, ale nic z tego nie wychodziło. W tej chwili nie interesowało go nic innego oprócz nich właśnie. Gdyby jeszcze mógł porozmawiać z nimi! Mówienie tak dobrze przeszkadza w myśleniu!

I nie można też było porzucić wielkich i niebezpiecznych myśli, szukając ratunku w małych i zwykłych, wówczas bowiem Hatifnatowie mogliby dojść do wniosku, iż pomylili się co do niego i że w istocie rzeczy był zupełnie zwykłym werandowym tatusiem...

Tak więc Tatuś Muminka patrzył w napięciu w dal na morze, tam gdzie w blasku księżyca rysowała się niewielka czarna skała.

I starał się myśleć prosto, jak tylko potrafił: wyspa na morzu, księżyc nad wyspą, księżyc płynie w morzu - czarne, żółte, granatowe. Zmuszał się do tego, póki myśli się nie uspokoiły i Hatifnatowie nie przestali machać łapkami. Wyspa, choć mała, była bardzo wysoka.

Pagórkowata i ciemna wynurzała się z wody, podobna do głowy któregoś z większych węzów morskich.

- Czy tu wylądujemy? - spytał z zainteresowaniem.

Hatifnatowie nie odpowiedzieli. Wyszli na ląd i zacumowali łódź, umocowawszy kotwicę w szczelinie. Następnie, nie zwracając na niego uwagi, zaczęli wspinać się na brzeg. Widział, jak wężą pod wiatr, jak się pochylają i machają łapkami najwidoczniej w głębokiej konspiracji, do której nie został dopuszczony.

- Przepraszam - powiedział Tatuś niemile tym dotknięty i wyszedł z łódki za nimi. - Jeżeli pytam, czy będziemy lądować, chociaż widzę, że będziemy, to chyba możecie w każdym razie odpowiedzieć. Cokolwiek - tyle, żebym wiedział, że mam towarzystwo.

Powiedział to bardzo cicho, sam do siebie.

Góra była stroma i śliska, niezycziwa jak cała wyspa, która najzupełniej wyraźnie dawała do zrozumienia, że chce, aby ją zostawiono w spokoju. Nie było na niej kwiatów ani mchu, nie było w ogóle nic - po prostu wylaniała się z morza i wyglądała na złą.

Nagle Tatuś spostrzegł coś niemiłego i dziwnego zarazem. Na wyspie pełno było czerwonych pajęczków. Były bardzo małe, ale niezliczone, roiło się od nich, tworzyły jakby czerwony dywan na czarnej górze.

Żaden nie siedział spokojnie, każdy pędził tak szybko, jak go tylko nogi niosły, wyglądało to, jakby cała wyspa ruszała się w świetle księżyca.

Tatusiowi ze wstrętu zrobiło się niedobrze.

Podnosił wysoko nogi, szybko poderwał swój ogon i starannie go wytrząsnął, rozglądając się wokół choćby za plamką ziemi, gdzie nie byłoby pajęczków; ale nie znalazł takiego miejsca.

- Nie chcę przecież po was deptać - mruczał Tatuś. - Czemuż nie zostałem w łodzi?... Jest ich za dużo, to nienaturalne, żeby było aż tyle z tego samego gatunku... I wszystkie zupełnie jednakowe...



Spoglądał bezradnie za Hatifnatami i ujrzał ich sylwetki na tle księżyca wysoko na górze. Jeden z nich schylił się, jakby coś znalazł. Ale Tatuś nie mógł dojrzeć, co to takiego.

Zresztą teraz było mu wszystko jedno. Zszedł z powrotem do łodzi, otrząsając łapki jak kot, gdyż pajęczki wpełzały i na niego, a to było bardzo nieprzyjemne.

Biegły także po cumie długą czerwoną procesją i włąziły na burty łodzi.

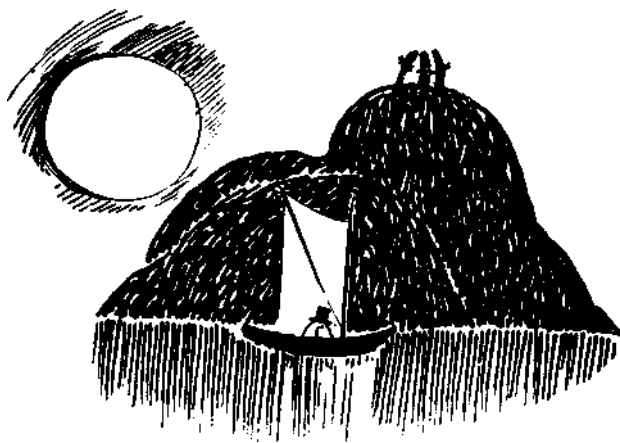
Tatuś Muminka usiadł jak najdalej na rufie.

„To jest zupełnie jak sen - pomyślał. - Zrywam się ze snu, budzę Mamę Muminka i mówię: okropność, moja kochana, to było okropne, pająki - nie masz pojęcia«... A Mama Muminka odpowiada: »Oj ty biedaku - ale spójrz, nie ma tu ani jednego, to był tylko sen«...”.

Hatifnatowie powoli wracali.

I nagle pajęczki, ogarnięte przerażeniem, zaczęły zawracać i pędzić po cumie na ląd.

Hatifnatowie weszli do łodzi i odbili. Wyłynęli z czarnego cienia pod wyspą na świetlisty w blasku księżycy szlak wodny.



- Dzięki Bogu, żeście wrócili - zawołał Tatuś z widoczną ulgą. - Bądź co bądź, nigdy nie umiałem sobie radzić z pajakami, które są tak małe, że nie można z nimi rozmawiać. Czy znaleźliście coś ciekawego?

Hatifnatowie obrzucili go długimi, żółtymi spojrzzeniami i milczeli.

- Pytam, czy coś znaleźliście? - powtórzył Tatuś i pyszczył mu poczerwieniał. - Jeżeli to tajemnica, to zachowajcie ją dla siebie, jeśli musicie. Ale powiedzcie przynajmniej, czy coś znaleźliście.

Hatifnatowie stali bez ruchu i patrzyli na niego. Wtedy Tatuś poczuł, że twarz oblewa mu fala gorąca, i krzyknął:

- Lubicie pajaki? Lubicie je czy nie? Chcę to wiedzieć natychmiast!

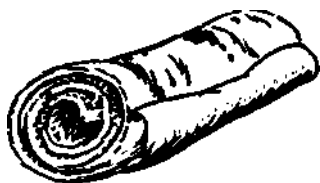
Po długiej ciszy, która teraz zapadła, jeden z Hatifnatów wystąpił naprzód i rozłożył łapki. Może coś powiedział - a może był to szept wiatru nad wodą.

- Przepraszam - rzekł Tatuś. - Rozumiem.

Uznał, że Hatifnatowie wytłumaczyli mu, że nie mają jakiegoś specjalnego stosunku do pajaków. Albo też sami ubolewali nad czymś, na co nie było rady. Może

nad tym smutnym faktem, że żaden Hatifnat i ktoś taki jak Tatuś Muminka nigdy nie potrafią się porozumieć. Może byli rozczarowani i uważali, że Tatuś zachował się dziecinnie. Westchnął więc i popatrzył na nich przybity. Teraz zobaczył, co Hatifnatowie znaleźli. Był to mały kawałek kory brzozonej, jeden z tych, które morze zwija i wyrzuca na brzeg. Nic innego. Rozwija się go jak dokument, wewnątrz jest biały i gładki jak jedwab, ale skoro tylko go puścić, zwija się z powrotem. Tak jakby chciał ukryć tajemnicę. Mama Muminka okręcała takim kawałkiem kory rączkę imbryka do kawy.

Ten zwój najwidoczniej zawierał jakieś ważne wiadomości. Ale Tatuś nie był już tak ciekawy. Zmarzył trochę, więc zwinął się na dnie łodzi, żeby się przespać. Hatifnatowie tymczasem, nie odczuwali zimna, tylko elektryczność. I nigdy nie spali.





Tatuś Muminka zbudził się o świcie. Plecy miał zdętwiałe i wciąż jeszcze marzył. Spod runda kapelusza widział burzę łodzi i szary trójkąt morza, które wznosiło się, opadało i znowu się wznosiło. Było mu trochę niedobrze i wcale nie czuł się jak Tatuś, który wybrał się na poszukiwanie przygód.

Jeden z Hatifnatów, który siedział naprzeciw niego, zaczął mu się ukradkiem przyglądać. Teraz oczy Hatifnata były szare. Delikatnie ukształtowane łapki poruszały się powoli jak skrzydła ćmy. Może rozmawiał z pozostałymi Hatifnatami albo myślał. Głowę miał okrągłą, ani śladu szyi. „Wszystko razem wygląda jak długa, biała pończocha - pomyślał Tatuś Muminka. - Trochę postrzępiona u dołu. Albo jak biała pieczarka”.

Teraz było mu jeszcze bardziej niedobrze. Przypomniał sobie, jak zachował się poprzedniego wieczoru. I pajęczki. Po raz pierwszy widział, jak pajęczki ogarnął strach.

- Ojej - wymamrotał Tatuś. Próbował usiąść, ale w tej samej chwili spostrzegł zwój kory brzozonej i zeszywniał. Uszy podniosły mu się pod kapeluszem. Zwój leżał w czerpaku do wylewania wody, na podłodze, i turlał się wolno tam i z powrotem wraz z ruchem łodzi.

Tatuś Muminka zapomniał, że jest mu niedobrze. Ostrożnie wyciągnął łapkę. Spojrzał szybko na Hatifnatów, ale jak zwykle ich oczy utkwione były w horyzoncie. Wziął zwój kory i powoli przyciągnął do siebie. W tej samej chwili poczuł lekkie uderzenie prądu jak przy dotknięciu językiem baterii latarki kieszonkowej. Nie był na to przygotowany.

Leżał bez ruchu dłuższą chwilę, żeby się uspokoić. Potem ostrożnie zaczął rozwijać tajny dokument. Była to zwykła kora brzozonej. Żadna mapa skarbów. Żaden szyfr. W ogóle nic.

Może był to bilet wizytowy, który wszyscy Hatifnatowie grzecznie pozostawiają na każdej samotnej wyspie, żeby znaleźli go potem inni Hatifnatowie? Może ten mały wstrząs elektryczny miał wywołać takie samo przyjemne uczucie jak miły list? Albo może Hatifnatowie potrafią odczytywać niewidzialne pismo, o którym

zwykle trolle nie mają pojęcia?

Rozczarowany Tatuś Muminka pozwolił zwojowi skrócić się na powrót, a potem podniósł oczy.

Hatifnatowie patrzyli na niego spokojnie i Tatuś zaczerwienił się.

- Jesteśmy przecież w tej samej łodzi - rzekł. I, nie czekając, bezradnie rozłożył łapki, tak jak czynili to Hatifnatowie, i westchnął.

Odpowiedział mu wiatr, gwizdnąwszy na napiętym sztagu*. Morze wokół nich toczyło swoje fale aż het na koniec świata i Tatuś Muminka pomyślał sobie: „Jeżeli to jest niedobre życie, to gotów jestem zjeść mój kapeluszek”.

Jest wiele rodzajów wysp, lecz jeśli są one tylko dostatecznie małe i położone dość daleko na morzu - bywają zwykle samotne i smutne. Wieją dokoła nich wiatry, żółty księżyc wschodzi i zachodzi, morze staje się nocą czarne jak węgiel, ale wyspy są zawsze takie same

* Sztag - lina biegnąca od masztu do dziobu lub rufy, zabezpieczająca maszt przed wyginaniem się do przodu bądź do tyłu.

i tylko od czasu do czasu odwiedzają je Hatifnatowie. Zresztą nie muszą być nawet prawdziwe. Mogą to być rafy, szczyty skał, zapomniane pasma lądu, które być może nikt nie widział w morzu przed świtem i wychylają się nocą, aby rozejrzeć się w krajobrazie. Któż to wie?

Hatifnatowie odwiedzali każdą z nich. Czasem czekał tam na nich mały zwój kory. Czasem nie było nic, wyspę stanowił lśniący grzbiet fok z kipiłą morską wokół albo też kilka poszarpanych skał ze spiętrzonymi zwałami rdzawych morskich wodorostów. Lecz Hatifnatowie na każdej wyspie zostawiali zwój kory.

„Mają w tym jakąś myśl - zastanawiał się Tatuś. - Coś, co jest dla nich ważniejsze niż wszystko inne. A ja będę im towarzyszył, dopóki nie dowiem się, co to jest”.

Nie spotykali już czerwonych pajęczków, ale Tatuś pozostawał na wszelki wypadek w łodzi, ilekroć Hatifnatowie wychodzili na ląd. Wyspy przypominały mu inne wyspy, które pozostały daleko za nim, wyspy wycieczkowe, zielone zatoki, gdzie pływali całą rodziną, namiot i maselniczkę, która chłodziła się w cieniu pod wodą, szklanki z sokiem w piasku i majtki kąpielowe

suszące się na kamieniu... Naturalnie, nie tęsknił wcale do tego bezpiecznego, werandowego życia. Były to tylko myśli, które mu migwały, ale które trochę go przybijały. Coś bardzo małego, co się już nie liczyło.

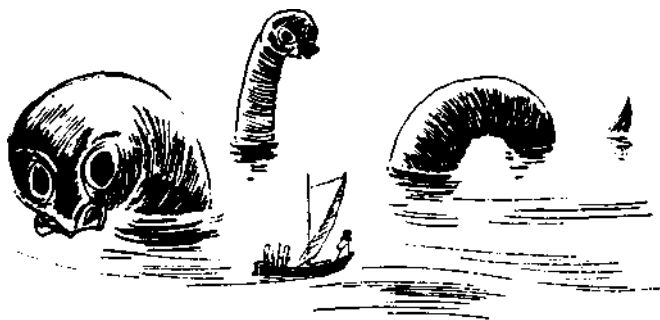
Zresztą Tatuś zaczął myśleć w zupełnie nowy sposób. Coraz rzadziej i rzadziej rozmyślał o tym, co przeżył w swym przyjemnym, barwnym życiu, i równie rzadko marzył o tym, co przyniosą mu przyszłe dni.

Myśli jego płynęły jak lódź, bez wspomnień i marzeń, były jak szare fale, które nawet nie miały chęci dopłynąć do horyzontu.

Tatuś nie starał się już rozmawiać z Hatifnatami. Patrzył daleko w morze jak oni, oczy jego stały się blade jak ich, zapożyczając zmiennego koloru nieba. Gdy pojawiały się przed nimi nowe wyspy, nie ruszał się, tylko ogon jego uderzał niemrawo o dno łodzi.

„Ciekaw jestem - pomyślał Tatuś któregoś dnia, gdy sunęli na grzbiecie wysokiej fali - ciekaw jestem, czy nie zaczynam być podobny do Hatifnata”.

Dzień był bardzo upalny, a pod wieczór nad morze napłynęła mgła. Była to ciężka i dziwnie rudożółta mgła,



która wydała się Tatusiowi groźna i jakby żywa.

Weże morskie parskają, nurkując, widział je czasem przelotnie. Okrągła, ciemna głowa, wystraszone oczy, patrzące na Hatifnatów, potem gwałtowne uderzenie ogonem i dzika ucieczka we mgłę.

„Boją się tak samo jak pająki - pomyślał Tatuś. - Wszyscy boją się Hatifnatów...”

W ciszy przetoczył się odległy pomruk grzmotu, po czym wszystko znów umilkło i znieruchomiało.

Tatuś nigdy nie uważał, że burza jest ogromnie pasjonująca. Teraz zaś w ogóle nic nie uważał. Był zupełnie wolny, ale nie miał już na nic ochoty.

W pewnej chwili z mgły wyłoniła się inna łódź żaglowa z dużym towarzystwem na pokładzie.

Tatuś zerwał się z miejsca. W jednej chwili stał się dawnym Tatusiem, wywijał kapeluszem, machał łapką i krzyczał.

Obca łódź sterowała w ich stronę. Była biała i żagiel był biały. A ci, którzy w niej siedzieli, też byli biali...

- Ach, tak - powiedział Tatuś z rozczarowaniem. Zobaczył, że to również Hatifnatowie, więc przestał machać łapką i usiadł.

Obie łodzie jechały dalej naprzód, nie pozdrawiając się nawzajem.

I nagle, w jednej chwili, łódź za łodzią zaczęły wynurzać się z ciemnej mgły - cienie, które płynęły w jednym kierunku i wszystkie miały załogę złożoną z Hatifnatów. Czasem z siedmiu, czasem z pięciu - albo jedenastu, czasem z jednego Hatifnata, lecz ich liczba była zawsze nieparzysta.

Mgła rozproszyła się, zlała ze zmierzchem, który również był rudożółty. Całe morze pełne było łodzi. Wszystkie zwracały dzioby ku nowej wyspie, długiej, bez drzew i gór.

Znów rozległ się pomruk burzy. Znajdowała się gdzieś wewnątrz czegoś wielkiego i czarnego, co rosło coraz wyżej i wyżej nad horyzontem.

Łódź za łodzią dobijały do brzegu, opuszczano żagle. Samotny brzeg roił się od Hatifnatów, którzy już wcześniej wyciągnęli swoje łodzie na piasek, a teraz kłaniali się sobie nawzajem.

Jak daleko mógł sięgnąć wzrokiem, wszędzie widać było białe, uroczyste postaci, spacerujące i wymieniające ukłony. Szeleściły cicho i bezustannie machały łapkami. A trawa nadbrzeżna szeptała wokół nich.

Tatus stał trochę na uboczu - starał się rozpaczliwie znaleźć swoich Hatifnatów wśród innych. Było to dla niego bardzo ważne. To przecież jedyni, których znał trochę... Pewnie, że niewiele. Ale zawsze.

Zniknęli jednak w tłumie, nie mógł ich wcale odróżnić i nagle ogarnęło go takie samo przerażenie jak na pajęczej wyspie. Wciągnął kapelusz głęboko na oczy, starając się nadać sobie wygląd groźny i beztroski.

Kapelusz stanowił jedyną pewną i prawdziwą rzecz na tej dziwnej wyspie, gdzie wszystko było białe, szeleszczące i niepewne.

Tatus Muminka nie bardzo już polegał na sobie samym, ale w kapelusz wierzył: był kruczo czarny



i zdecydowany, a wewnątrz niego Mama Muminka namalowała: „T.M. od twojej M.M.”, żeby się różnił od wszystkich innych kapeluszy na świecie.

Kiedy przybiła i została wciągnięta na brzeg ostatnia łódź, Hatifnatowie przestali szeleścić. Wszyscy naraz zwrócili swoje czerwonożółte oczy na Tatusia i zaczęli zbliżać się ku niemu.

„Chcą się bić” - pomyślał Tatus i od razu ocknął się i poczuł żywe zainteresowanie. Właśnie w tej chwili miał chęć bić się z kimkolwiek, tylko bić się i krzyczeć, i być przekonany, że nikt poza nim nie ma racji.

Ale Hatifnatowie nigdy nikogo nie biją, podobnie jak nigdy nie zaprzeczają nikomu, nie czują do nikogo sympatii, w ogóle nie czują nic.

Podchodzili, żeby się uklonić, jeden po drugim, setkami, Tatuś zaś, zdjawszy kapelusz, kłaniał się, aż rozboleła go głowa, a setki łapek machało do niego, aż i on zaczął machać.

Kiedy minęli go ostatni Hatifnatowie, Tatuś Muminka nie pamiętał już wcale, że miał chęć się bić. Był grzeczny i uprzejmy i szedł za nimi przez szepczącą trawę z kapeluszem w łapce.

Teraz burza stała wysoko na niebie, pochylając się nad nimi jak groźna, opadająca ściana. Górą leciał wiatr, którego nie czuli, i pędził przed sobą w trwożnej ucieczce maleńkie, postrzępione kępki chmur.

Nisko nad morzem migały krótkie, zmienne światła błyskawic, zapalały się i gasły, i znów się zapalały.

Hatifnatowie zebrali się pośrodku wyspy. Zwróceni teraz byli ku południu, skąd nadchodziła burza, zupełnie jak ptaki morskie przed sztormem. Jeden po drugim zaczęli świecić niby lampki nocne, zapalali się w takt błyskawic, a trawa wokół nich trzaskała od elektryczności.

Tatuś, położywszy się na plecach, patrzył na wyblakłą zieleń roślin nadbrzeżnych, na delikatne jasne liście na tle



ciemnego nieba. Przypominały mu domową poduszkę z wyhaftowanymi przez Mamę Muminka liśćmi paproci. Jasnozielonymi na czarnym tle sukna. Była bardzo piękna.

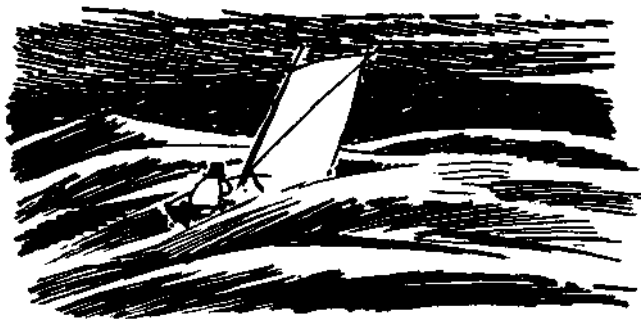
Teraz pomruk burzy rozlegał się bliżej. Tatuś poczuł lekkie uderzenie w łapkach i usiadł na trawie. W powietrzu czuł deszcz.

Nagle łapki Hatifnatów zaczęły trzepotać jak skrzydła ćmy. Kołysali się to w jedną, to w drugą stronę, kłaniali się i tańczyli, i wszędzie na tej samotnej wyspie rozlegało się jakby ciche brzęczenie komarów. To Hatifnatowie zawadzili żałośnie i tęsknie, a głosy ich brzmiały, jakby ktoś świstał w butelkę. Tatusia ogarnęła niepowstrzymana chęć, żeby robić to samo. Kołysać się w przód i w tył, zalić się, kołysać i szeleścić.

Zaczął machać łapkami. Wstał i podszedł do Hatifnatów. „Ich tajemnica ma coś wspólnego z burzą - pomyślał. - To do niej tęsknią i jej szukają...”.

Ciemności zapadły nad wyspą i błyskawice spływały prosto w dół - białe, syczące niebezpieczeństwo.

Gdzieś daleko nad morzem zerwał się porywisty wiatr i w końcu rozpetęła się burza, największa, jaką Tatuś kiedykolwiek przeżył.



Ciężkie kamienne wozy przetaczały się tam i z powrotem, tam i z powrotem, a wicher przewrócił Tatusia na trawę. Siedział, trzymając kapelusz w ręku, wiatr przenikał go na wylot. „Nie - pomyślał sobie nagle. - Co mnie napadło? Nie jestem przecież Hatifnatem, jestem Tatusiem Muminka... Co ja tu robię?...”.

Spojrzał na Hatifnatów i nagle wszystko zrozumiał. Zrozumiał, iż jedyną rzeczą, która ożywić może Hatifnata, jest wielka, ogromna burza.

Byli silnie naelektryzowani, ale bezradnie ograniczeni. Nic nie czuli, o niczym nie myśleli - mogli tylko szukać. Dopiero kiedy zetknęli się z elektrycznością, zaczęli żyć ze wszystkich sił, pełni wielkich, gwałtownych uczuć.

To właśnie do tego tęsknili. Być może przyciągali do siebie burzę, kiedy było ich wielu...

„Tak to musi być - myślał Tatuś. - Biedni Hatifnatowie! A ja siedziałem w swojej zatoce i myślałem, że są tacy nadzwyczajni i wolni, jedynie dlatego, że nic nie mówili, tylko wciąż wędrowali dalej. A oni nie mieli nic do powiedzenia i nie mieli dokąd wędrować...”

W tej samej chwili rozwarły się chmury i lunął deszcz, lśniący i biały w świetle błyskawic.

Tatuś zerwał się. Oczy jego były równie niebieskie jak zwykle, gdy krzyknął:

- Wracam do domu! Wracam natychmiast do domu!

Podniósł do góry pyszczek i wciągnął kapelusz na uszy. Potem ruszył w kierunku wybrzeża, wskoczył do jednej z białych łodzi, wciągnął żagiel i ruszył prosto na wzburzone morze.

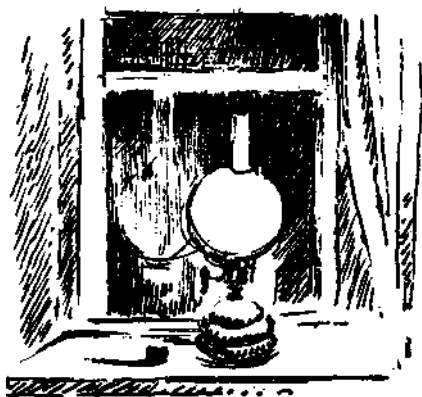
Był znów sobą, pełen własnych myśli o sprawach tego świata, i tęsknił do domu.

„Żeby nigdy nie móc się cieszyć lub rozczarować! - myślał Tatuś, podczas gdy łódź pędziła wśród nawałnicy.
- Nigdy nikogo nie kochać, nie móc się rozgniewać na tego kogoś, a potem mu przebaczyć. Nie móc spać ani

marznąć, nigdy się nie mylić, nie mieć bólów brzucha i potem nie wyzdrowieć, nie obchodzić urodzin, nie pić piwa i nigdy nie mieć nieczystego sumienia... To wszystko jest straszne!”

Był szczęśliwy i przemoczony do ostatniej nitki, i wcale nie bał się burzy. „Nigdy nie założymy sobie w domu światła elektrycznego. Będziemy mieli zawsze lampy naftowe”.

Tatuś Muminka tęsknił za swoją rodziną i za swoją werandą. Wydało mu się nagle, że dopiero tam będzie miał tyle przygód i będzie tak wolny, jak tylko powinien być prawdziwy tatuś.





CEDRYK

Teraz, kiedy jest już po wszystkim, trudno zrozumieć, jak Sniff, małe stworzonko, dał się namówić, żeby oddać Cedryka.

Po pierwsze, Sniff nigdy przedtem niczego nie oddał, raczej przeciwnie. A po drugie, Cedryk rzeczywiście był dość niezwykły.

Cedryk nie był żywy, był rzeczą - ale jaką! W pierwszej chwili można było sądzić, iż chodzi o małego pluszowego pieska, dość wyliniąłego i zniszczonego od nadmiernej doń miłości, lecz wystarczyło przyjrzeć się bliżej Cedrykowi, aby zobaczyć, że oczy miał z topazów,

a na jego obroży, tuż koło sprzączki, umieszczony był mały prawdziwy kamień księżycowy*.

Poza tym wyraz twarzy miał nie do naśladowania, taki, jakiego nie miał nigdy żaden inny pies. Możliwe, iż szlachetne kamienie były dla Sniffa ważniejsze niż wyraz twarzy Cedryka, ale w każdym razie Sniff go kochał.

Ledwie też oddał Cedryka, zaczął żałować tego rozpaczliwie. Nie jadł, nie spał, nie rozmawiał. Tylko żałował.

- Ależ kochany Sniffku - powiedziała z troską Mama Muminka. - Jeżeli tak okropnie kochałeś Cedryka, to mogłeś przynajmniej dać go komuś, kogo lubisz, a nie córce Gapsy.

- Ech - wymamrotał Sniff, patrząc w podłogę czerwonymi od płaczu oczami - to wszystko przez Muminka. Powiedział, że jeżeli się oddaje coś, co się lubi, to zwraca się to dziesięciokrotnie i ma się potem bardzo miłe uczucie. Oszukał mnie.

- Och - powiedziała Mama. - Tak, tak. - Nie znalazła nic lepszego, co mogłaby wówczas powiedzieć. Najlepiej

* Kamień księżycowy - selenit, kryształ.

więc było czekać do następnego dnia.

Nadszedł wieczór i Mama poszła do swojego pokoju. Wszyscy powiedzieli sobie dobranoc, lampy gasły jedna po drugiej. Tylko Sniff nie spał i leżał, patrząc w sufit, gdzie cień wielkiej gałęzi kołysał się tam i z powrotem w świetle księżyca. Przez otwarte okno, gdyż noc była ciepła, słyszał Włóczykija grającego na harmonijce nad rzeką.

Gdy myśli jego stały się zbyt ponure, Sniff wstał z łóżka i podszedł do okna. Zlazł po sznurowej drabince i pobiegł przez ogród, gdzie świeciły białe peonie, a wszystkie cienie były czarne jak węgiel. Księżyc stał wysoko na niebie, daleki i bezosobowy.

Włóczykij siedział przed swoim namiotem.

Tej nocy nie grał piosenek, tylko małe strzępki melodii, podobne do pytań lub krótkich, potakujących dźwięków, które się wydaje, kiedy się nie wie, co powiedzieć.

Sniff usiadł obok niego i niepokieszony patrzył na rzekę.

- Hej! - pozdrowił go Włóczykij. - Dobrze, że przyszedłeś. Siedziałem właśnie i myślałem o pewnej historii, która może cię zainteresować.



- Nie interesują mnie dziś żadne bajki - wymamrotał Sniff i zmarszczył się.

- To nie bajka - odparł Włóczykij. - To się zdarzyło naprawdę. Zdarzyło się ciotce mojej matki.

Po czym Włóczykij zaczął opowiadać, pykając ze swojej fajeczki i od czasu do czasu pluskając palcami nóg w ciemnej od nocy rzecznej toni.

- Była raz pewna pani, która bardzo kochała swoje rzeczy. Nie miała dzieci, żeby ją bawiły lub gniewały, nie potrzebowała pracować ani gotować jedzenia, nie dbała o to, co ludzie o niej myślą lub mówią, i nie była z natury bojaźliwa. Straciła natomiast chęć do zabawy. Innymi słowy, było jej dość nudno.

Ale kochała swoje piękne rzeczy, które zbierała przez całe życie, czyściła je i porządkowała, tak że stawały się coraz to piękniejsze i piękniejsze i aż trudno było oczom wierzyć, kiedy się weszło do jej domu.

- Musiała być bardzo szczęśliwa - westchnął Sniff. - Jak wyglądały jej rzeczy?

- No, tak - odrzekł Włóczykij. - Była szczęśliwa, jak umiała być szczęśliwa. Ale bądź cicho i daj mi opowiedzieć do końca. A więc pewnej nocy zdarzyło się, że ta ciotka mojej matki, jedząc kotlet w ciemnej



spizarni, połknęła dużą kość. Potem czuła się dziwnie przez wiele dni, a gdy nie było poprawy, poszła do lekarza. Opukał ją, osłuchał, potrząsał nią i prześwietlał, aż w końcu powiedział, że ta kość od kotleta stanęła w poprzek. Była to bardzo złośliwa kość, która nie dawała się wyciągnąć. Innymi słowy, obawiał się najgorszego.

- Coś takiego! - powiedział Sniff z zainteresowaniem. - Uważał więc, że ciotka może umrzeć w każdej chwili, chociaż nie miał odwagi jej tego powiedzieć?

- Mniej więcej - zgodził się Włóczykij. - Ale ciotka mojej matki nie była z natury bojaźliwa, zapytała więc, ile czasu jej pozostało, a potem poszła do domu i rozmyślała. Kilka tygodni to przecież niewiele.

Przypomniało jej się nagle, że kiedy była młoda, miała zamiar zbadać rzekę Amazonkę, nauczyć się nurkowania w morzu i wybudować duży, wesoły dom dla samotnych dzieci, odbyć podróż do góry zięjącej ogniem i urządzić olbrzymie przyjęcie dla wszystkich swoich przyjaciół. Ale na to wszystko było już naturalnie za późno. Przyjaciół zaś nie miała wcale, gdyż przez całe życie zbierała tylko piękne rzeczy, a to pochłania moc czasu.

Im dłużej się zastanawiała, tym w większą wpadała melancholię. Chodziła po pokojach, szukając pociechy we wszystkich pięknych przedmiotach, które w nich zgromadziła, ale nie potrafiły jej pocieszyć. Odwrotnie - myślała wciąż o tym, że zostawi to wszystko na ziemi, kiedy pójdzie do nieba. I - rzecz dziwna - myśli, że trzeba będzie zbierać wszystko od początku tam w górze, nie pociągała jej wcale.

- Biedaczka! - wybuchnął Sniff. - Czy nie mogła wziąć ze sobą chociażby jednej małej rzeczy?

- Nie - odparł Włóczykij poważnie. - To jest wzbronione. Ale bądź cicho i słuchaj. Pewnej nocy ciotka mojej matki, leżąc i patrząc w sufit, martwiła się i martwiła. Wokół niej stało mnóstwo pięknych mebli, a na nich moc pięknych drobiazgów. Wszędzie pełno było najrozmaitszych przedmiotów - na podłodze, na ścianach, na suficie, w szafach, w szufladach - i nagle ciotce zrobiło się duszno od tych wszystkich rzeczy, które nie potrafiły dać jej najmniejszej pociechy. I wtedy wpadła na pewien pomysł. Pomysł był tak wesoły, że ciotka mojej matki zaczęła się śmiać. Ożywiła się natychmiast i wstała, żeby się zastanowić.

Wpadła mianowicie na pomysł, żeby rozdać te przedmioty i w ten sposób mieć wokół siebie więcej powietrza, co jest konieczne, kiedy się ma dużą kość leżącą w poprzek żołądka i kiedy chce się poza tym w spokoju rozmyślać o Amazonce.

- To głupio - powiedział Sniff rozczarowany.

- To wcale nie było głupie - zaprzeczył Włóczykij. - Było jej okropnie przyjemnie, kiedy siedziała, zastanawiając się, co komu dać. Miała dużą rodzinę i знаła mnóstwo ludzi, rozumiesz, więc wszystko to było możliwe, chociaż nie miała przyjaciół. No więc, myślała o wszystkich po kolei i zastanawiała się, kto z czego najbardziej by się ucieszył. Była to przyjemna zabawa.

Zresztą - nie była wcale głupia ta ciotka mojej matki. Mnie dała harmonijkę. Pewnie nie wiedziałeś, że jest ze złota i palisandru*? No, tak. Obmyśliła wszystko tak mądrze, że każdy dostał właśnie to, co mu odpowiadało i o czym zawsze marzył.

* Palisander - drewno wielu gatunków drzew tropikalnych, bardzo ciężkie i twarde, używane głównie do wyrobu mebli, przedmiotów artystycznych i instrumentów muzycznych.



Ciotka mojej matki miała poza tym zmysł niespodzianki. Wszystko to wysłała w paczkach, a ci, którzy je otrzymali, nie mieli pojęcia, od kogo pochodzi prezent (nigdy przecież nie byli u niej w domu, gdyż bała się, żeby jej czegoś nie stłukli). Cieszyła się, wyobrażając sobie ich zdziwienie, ich rozmyślania i domysły, i czuła się w pewnym sensie dumna, mniej więcej jak ta wróżka, która spełnia życzenia wszystkich, a potem znika.

- Ale ja nie posłałem Cedryka w paczce! - wybuchnął Sniff. - I nie mam zamiaru umrzeć!

Włóczykij westchnął.

- Zawsze jesteś taki sam - powiedział. - Spróbuj jednak posłuchać dobrej historii, nawet jeśli to nie jest historia o tobie. I pomyśl też trochę o mnie. Zachowałem tę historię dla ciebie, a lubię czasami opowiadać. No, dobrze. Jednocześnie zdarzyło się coś innego. Ciotka mojej matki nagle mogła sypiać w nocy, a we dnie marzyła o Amazonce i czytała książki o nurkowaniu w morzu, i rysowała obrazki dla tego domu dla dzieci, których nikt nie chciał. To ją bawiło i dlatego zrobiła się miłsza, niż była dawniej, i zaczynano ją lubić. „Muszę uważać - myślała sobie. - Ani się obejrzę, jak będę miała przyjaciół, a nie zdążę przecież urządzić dla nich tego wielkiego przyjęcia, o którym marzyłam w młodości...”

W jej pokoju było teraz coraz więcej i więcej powietrza. Paczka wyjeżdżała za paczką, a im mniej rzeczy ciotka posiadała, tym większe miała uczucie lekkości. W końcu chodziła po swoich pustych pokojach, czując się niby balon, wesoły balon, gotowy do odlotu...

- Do nieba - zauważył Sniff ponuro. - Słuchaj...

- Nie przerywaj mi ciągle - zirytował się Włóczykij. - Widzę, że jesteś za mały na tę historię. Będę jednak opowiadał dalej. Dobrze. W końcu więc wszystkie pokoje były puste i ciotce mojej matki pozostało tylko łóżko.

Było to duże łóżko z baldachimem i gdy nowi jej przyjaciele przychodzili, żeby ją odwiedzić, mieścili się na nim wszyscy, ci zaś, którzy byli mniejsi, siadali na baldachimie.

Było im razem okropnie przyjemnie, a jedyną rzeczą, która martwiła ciotkę mojej matki, było to, że może nie zdąży wydać dla nich tego wspianego przyjęcia.

Wieczorami opowiadali sobie straszne albo wesołe historie i pewnego wieczoru...

- Ech! - przerwał Sniff ze złością. - Jesteś zupełnie taki sam jak Muminek. Wiem, co będzie dalej. Oddała także łóżko, a potem poszła do nieba i była bardzo zadowolona, a ja powinienem był oddać nie tylko Cedryka, ale wszystko, co mam, i byłoby najlepiej, gdybym zaraz potem umarł!

- Osioł jesteś - powiedział Włóczykij. - Albo coś jeszcze gorszego - psujesz każdą historię. Chciałem ci powiedzieć, że ciotka mojej matki śmiała się tak okropnie



z tych wesołych historii, że kość wyleciała jej z żołądka i że zupełnie wyzdrowiała!

- Naprawdę? - zdziwił się Sniff. - Biedna ciotka!

- Co chcesz powiedzieć przez to: biedna ciotka? - zapytał Włóczykij.

- No, przecież oddała wszystko! - krzyknął Sniff. - Całkiem bez potrzeby! Przecież wcale nie umarła! Czy poszła potem i odebrała te rzeczy?

Włóczykij przegryzł fajkę i podniósł brwi.

- Ty mały, nierozsądny zwierzaczku - powiedział. - Zrobiła z tego wszystkiego wesołą historię. A potem urządziła przyjęcie. I wybudowała dom dla samotnych dzieci. Była oczywiście za stara na nurkowanie w morzu, ale zobaczyła górę ziejącą ogniem. Potem udała się



w podróż nad Amazonkę. To ostatnie, cośmy o niej słyszeli.

- To kosztuje moc pieniędzy - rzucił Sniff nieufnie. - A ona przecież wszystko oddała.

- Oddała? Czyżby? - mruknął Włóczykij. - Gdybyś słuchał, jak należy, zauważyłbyś, że zostało jej łóżko z baldachimem, a było ono, drogi Sniffie, z czystego złota i zapchane wprost diamentami i rubinami.

(Jeśli chodzi o Cedryka, to Gapsa zrobiła z topazów kolczyki dla swojej córki, a jemu dała w zamian oczy z czarnych guzików. Sniff znalazł go zapomnianego na dworze w deszczu i zabrał ze sobą do domu. Kamień księżycowy, niestety, zginął w kałuży i nigdy go nie znaleziono. Ale Sniff kochał nadal Cedryka tak samo, mimo że robił to tylko z miłości. A to na pewno przynosi mu zaszczyt.

Uwaga autorki)





CHOINKA

Jeden z Paszczaków stał na dachu i grzebał w śniegu. Na łapkach miał żółte wełniane rękawiczki, które powoli robiły się mokre i niemiłe. Zdjął je więc, położył na kominie i, westchnąwszy, grzebał dalej. W końcu wyłoniła się kłapa w dachu.

- Aha, kłapa - mruknął Paszczak. - A oni tam w środku śpią. Nic, tylko śpią i śpią, i śpią, podczas kiedy inni pracują do nieprzytomności jedynie dlatego, że ma być Gwiazdka i Wigilia.

Wszedł na kłapę, a ponieważ nie pamiętał, czy otwiera się do środka, czy na zewnątrz, tupnął w nią ostrożnie.

Otworzyła się natychmiast - do środka i Paszczak spadł w dół, w śnieg i ciemności, i w to wszystko, co rodzina Muminków złożyła na strychu na późniejszy użytek.

Paszczak ogromnie się zirytował, a ponadto niezupełnie pamiętał, gdzie położył swoje żółte rękawiczki; a właśnie do tych rękawiczek był szczególnie przywiązany.

Zszedł więc dalej po schodach, otworzył drzwi i krzyknął gniewnie:

- Nudzicie mnie tym waszym spaniem, a Wigilia się zbliża, może nadejść dosłownie w każdej chwili!

Na dole leżała pogrążona w śnie zimowym rodzina Muminków. Spali już od kilku miesięcy i mieli zamiar spać aż do wiosny. Słodki sen kołysał ich niby przez jedno długie i ciepłe popołudnie. Teraz nagle niepokój i zimne powietrze wtargnęły do snów Muminka. Poza tym ktoś ściągnął z niego kołdrę i krzyczał, że mu się sprzykrzyło i że nadchodzi Wigilia.

- Czy to już wiosna? - mruknął Muminek.

- Wiosna? - powiedział Paszczak nerwowo. - Mówiłem o Wigilii, rozumiesz, o Wigilii. A ja nic nie zdążyłem przygotować i nic nie mam, a oni mnie tu

posyłają, żebym was odgrzebał. Rękawiczki na pewno przepadły. Wszyscy biegają jak zwariowani, a nic jeszcze nie jest gotowe...

I Paszczak, tupiąc głośno, wszedł z powrotem na schody i wylał przez klapę na dachu.

- Mamusiu! Zbudź się! - zawołał Muminek przerażony. - Stało się coś strasznego! To się nazywa Wigilia!

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała Mama, wysuwając pyszczek spod kołdry.

- Nie wiem dokładnie - odpowiedział Muminek. - Ale nic nie jest przygotowane i coś przepadło, i wszyscy biegają jak zwariowani. Może to znowu powódź.

Potrząsnął ostrożnie Panną Migotką i szepnął:

- Nie bój się, ale stało się coś okropnego.

- Spokój - powiedział Tatuś Muminka. - Przede wszystkim spokój.

Następnie wstał i nakręcił zegar, który stanął chyba jeszcze w październiku.

Idąc po mokrych śladach Paszczaka, weszli na strych, a potem na dach domu.

Niebo było błękitne jak zwykle, więc tym razem nie mogło być mowy o górach ziejących ogniem. Ale cała

dolina pokryta była mokrą watą, góry i drzewa, i rzeka, i cały dom. I było zimno, jeszcze zimniej niż w kwietniu.

- To to nazywają Wigilią? - spytał Tatuś zdziwiony.

Wziął pełną garść waty i się jej przyjrzał.

- Ciekaw jestem, czy to wyrosło z ziemi - powiedział. - Czy spadło z nieba? Jeżeli wszystko spadło naraz, musiało to być bardzo nieprzyjemne.

- Ależ, Tatusiu, to śnieg! - powiedział Muminek. - Wiem, że to śnieg i że nie spada naraz.

- Co ty mówisz? - zdziwił się Tatuś. - Ale w każdym razie jest to nieprzyjemne.

Minęła ich ciotka Paszczaka, ciągnąc świerk na sankach.

- A więc obudziliście się? No, wreszcie - powiedziała obojętnie. - Postarajcie się o choinkę, zanim się ściemni.

- Ale po co?... - zaczął Tatuś Muminka.

- Nie mam teraz czasu! - krzyknęła ciotka przez ramię i ruszyła dalej.

- Zanim się ściemni - szepnęła Panna Migotka. - Ona powiedziała: zanim się ściemni. A więc niebezpieczeństwo nadejdzie dziś wieczorem.

- Widocznie trzeba mieć choinkę, żeby jakoś sobie dać radę - zastanawiał się Tatuś. - Nic nie rozumiem.

- Ani ja - powiedziała Mama z rezygnacją. - Ale włożcie wełniane skarpetki i szaliki, zanim pójdziecie po tę choinkę. Ja tymczasem spróbuję napalić w piecu.

Tatuś, mimo grożącej katastrofy, postanowił nie ścinać żadnego z własnych świerków, ponieważ bardzo o nie dbał. Przelazł przez sztachety do sąsiadki Gapsy i wybrał duże drzewo, świerk, który na pewno na nic szczególnego nie mógł się jej przydać.

- Myślisz, że chodzi o to, żebyśmy się w nim schowali? - spytał Muminek.

- Nie wiem - odrzekł Tatuś, nie przestając rąbać. - Nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

Zbliżali się już do domu, gdy nagle wpadła na nich Gapsa ze stosem torebek i paczek w objęciach.

Twarz miała czerwoną od mrozu i była bardzo podniecona. Na szczęście nie rozpoznała własnego świerka.



- Tłok, rozgardiasz! - krzyknęła. - Tym nieokrzesanym jeżom powinno się zabronić wcho... Powiedziałam im przed chwilą, że to po prostu wstyd...

- Choinka - przerwał jej Tatuś Muminka i schwycił ją rozpaczliwie za futrzany kołnierz. - Co się robi z choinką?

- Choinka? - powtórzyła Gapsa nieprzytomnie. - Choinka? Ach, to okropne! Nie, to straszne... Przecież trzeba ją szybko ubrać... Jak ja to wszystko zdążę...

Mówiąc to, upuściła paczki w śnieg, czapka zsunęła się jej na pyszczek i gotowa była niemal rozpląkać się ze zdenerwowania.

Tatuś Muminka potrząsnął głową i podniósł świerk z ziemi.

W domu Mama zmiotła śnieg z werandy, przygotowała pasy ratunkowe i aspirynę, strzelbę Tatusia i gorące okłady. Bo przecież nigdy nic nie wiadomo...

Na samym brzegu kanapy siedziało malutkie leśne stworzonko i piło herbatę. Siedziało przedtem w śniegu pod werandą i wyglądało tak mizernie, że Mama zaprosiła je do domu.

- Proszę, oto choinka - powiedział Tatuś. - Gdybyśmy tylko wiedzieli, do czego ona ma służyć. Gapsa twierdzi, że trzeba ją ubrać.

- Tak dużego ubrania nie mamy - powiedziała Mama zatroskana. - Co też ona mogła mieć na myśli?

- Jaka piękna choinka! - krzyknęło malutkie leśne stworzonko, przy czym z nieśmiałości zakrzusło się herbatą i pożałowało, że w ogóle odważyło się cokolwiek powiedzieć.

- A może ty wiesz, jak się ubiera choinkę? - zapytał Muminek.

Łeśne stworzonko zaczerwieniło się gwałtownie i szepnęło:

- Ładnymi rzeczami. Najładniej jak się tylko umie. Tak słyszałem... - Po czym znów ogarnęła je nieśmiałość, zasłoniło twarz chudymi łapkami, przewróciło filiżankę z herbatą i zniknęło za drzwiami werandy.

- Przez chwilę bądźcie cicho i pozwólcie mi pomyśleć - powiedział Tatuś. - Jeżeli choinka ma być przystrojona, i to najładniej, to chyba nie po to, żebyśmy się mieli w niej ukrywać przed jakimś niebezpieczeństwem, ale chyba po to, żeby je raczej przebłagać. Zaczynam rozumieć, o co tu chodzi.

Wynieśli więc zaraz choinkę przed dom i osadzili ją mocno w śniegu. Następnie zabrali się do przybierania jej od góry do dołu wszystkimi ładnymi rzeczami, jakie tylko mieli.

Udekorowali ją muszlami, które latem zdobyły grządki kwiatków, i naszyjnikami z pereł Panny Migotki. Zdjęli kryształowe wisioriki z żyrandola w salonie i zawiesili je na gałęziach, a na samym szczycie umieścili jedwabną



różę, którą Mama Muminka dostała od Tatusia.

Wszyscy znosili, co mieli najładniejszego, by ubłagać niepojęte moce zimy.

Kiedy choinka była już gotowa, znowu minęła ich ciotka Paszczaka. Szła teraz w przeciwnym kierunku i, jeśli to w ogóle było możliwe, śpieszyła się jeszcze bardziej.

- Spójrz na naszą choinkę! - zawołał Muminek.

- Coś podobnego! - wykrzyknęła ciotka Paszczaka. - Wyście zawsze byli dziwni. No, ale śpieszę się... Muszę zrobić jedzenie na Wigilię...

- Jedzenie? - powtórzył Muminek zdumiony. - To ona je?

Ale ciotka już nie słuchała.

- Myślisz, że dacie sobie radę bez jedzenia? - powiedziała tylko niecierpliwie i ruszyła dalej po zboczu.

Mama krzątała się w kuchni przez całe popołudnie. I tuż przed zmierzchem jedzenie dla Wigilii było gotowe i stało w małych filiżankach wokół choinki. Był tam sok owocowy i zsiadłe mleko, i ciasto z czarnymi jagodami, i grog, i różne inne smaczne rzeczy, które lubiła rodzina Muminków.

- Czy myślisz, że Wigilia jest bardzo głodna? - spytała Mama z niepokojem.

- Chyba nie więcej niż ja - powiedział Tatusz tęsknym głosem. Siedział w śniegu, i marzył owinięty kołdrą po uszy. Ale małe stworzenia muszą zawsze być bardzo, bardzo uprzejme wobec wielkich mocy przyrody.

Nisko w dolinie we wszystkich oknach po kolei zaczęły zapalać się światła. Świeciło się pod drzewami



i z każdego gniazda wśród gałęzi, migocące płomyki świec biegały w pośpiechu przez zasypane śniegiem. Muminek spojrzął pytająco na Tatusia.

- Tak - powiedział Tatus i przytaknął głową. - Na wszelki wypadek.

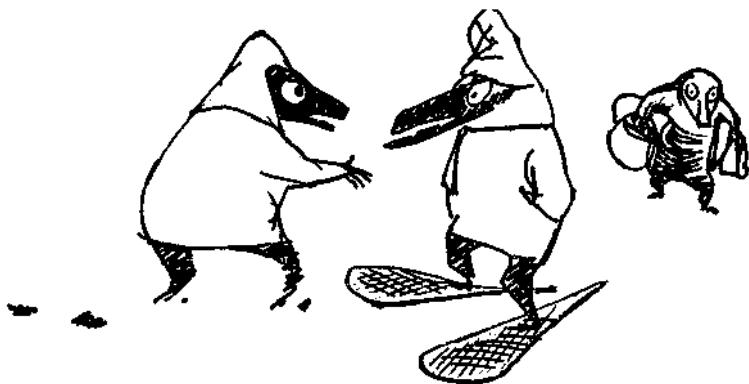
Wówczas Muminek wszedł do domu i zebrał wszystkie świece, jakie znalazł.

Następnie powtykał je w śnieg wokół świerka i zapalił ostrożnie, jedną po drugiej, aż wszystkie zapłonęły, by przebłątać ciemność i Wigilię. Powoli w dolinie zaległa zupełna cisza: zapewne wszyscy wrócili do swoich domów i siedzieli, czekając na niebezpieczeństwo, które miało nadejść. Tylko jedyny cień błędził jeszcze wśród drzew - był to Paszczak.

- Hej! - zawołał Muminek cicho. - Czy ona już niedługo nadejdzie?

- Nie przeszkadzaj! - parsknął Paszczak z nosem pochylonym nad długą listą, na której prawie wszystko było już poprzekreślane.





Usiadł przy jednej ze świec i zaczął liczyć.

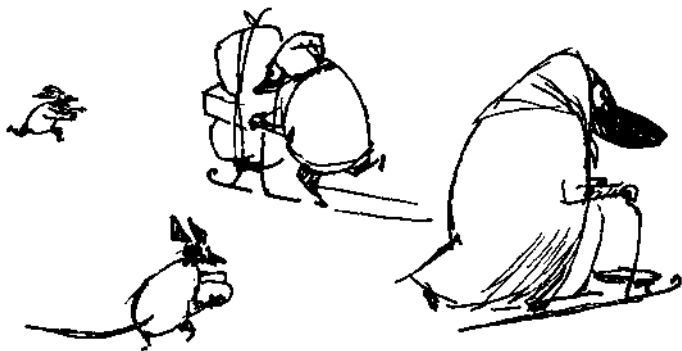
- Mama, Tatuś, Gapsa... - mruczał. - Wszystkie kuzynki... najstarszy jeź... tym małym nic nie trzeba. Ja też nic nie dostałem od Sniffa w zeszłym roku, Misabela i Homek... ciotka... chyba zwariuję od tego wszystkiego.

- Czy im się coś stało? - spytał Muminek.

- Prezenty! - wybuchnął Paszczak. - Z każdą Wigilią coraz więcej prezentów!

Postawił drżącą łapką krzyżyk na swojej liście i powłókł się dalej.

- Poczekaj! - zawołał Muminek. - Wyłumacz mi!... I twoje rękawiczki...



Ale Paszczak znikł w ciemnościach, podobnie jak wszyscy inni, którym się śpieszyło i którzy wychodzili z siebie, ponieważ nadchodziła ta dziwna Wigilia.

Wówczas rodzina Muminków weszła do domu, żeby także poszukać prezentów. Tatuś wybrał swoją najlepszą przynętę na szczupaki, która była umieszczona w bardzo ładnym pudełku, i na wieku pudełka napisał: „Dla Wigilii”, po czym położył je na śniegu.

Panna Migotka ściągnęła pierścionek z palca u nogi i z głębokim westchnieniem zawinęła go w bibułkę.

A Mama otworzyła swoją najskrytszą szufladę i wyjęła z niej książkę z kolorowymi obrazkami, jedyną książkę z kolorowymi obrazkami w całej dolinie.

To, co zapakował Muminek, było takie ładne i tak osobiste, że nikomu nie chciał tego pokazać. Nawet później, na wiosnę, nie chciał nikomu powiedzieć, co oddał.

Po czym wszyscy razem usiedli na śniegu i czekali na katastrofę.

Czas mijał, ale nic się nie działo.

Tylko małe leśne stworzonko, które piło herbatę, wyrzało zza drewni. Przyprowadziło ze sobą wszystkich swoich krewnych i przyjaciół swoich krewnych, a wszyscy byli jednakowo mali, szarzy, wynędzniali i zmarznięci.

- Przyjemnej Wigilii! - szepnęło leśne stworzonko nieśmiało.

- Jesteś pierwszy, który uważa, że Wigilia może być przyjemna - odpowiedział Tatuś. - Czy wcale się nie boisz, co się stanie, kiedy rzeczywiście nadejdzie?

- Przecież już jest - szepnęło leśne stworzonko i usiadło w śniegu ze swymi krewnymi. - Czy można popatrzeć? Macie taką prześliczną choinkę.



- I tyle jedzenia - dodał jeden z krewnych rozmarzonym głosem.

- I prezentów - dodał inny krewny.

- Przez całe moje życie marzyłem o tym, żeby przypatrzeć się temu z bliska - dodało leśne stworzonko i westchnęło.

Zaległa zupełna cisza. Świece paliły się nieruchomym płomieniem wśród łagodnej nocy, a małe stworzonko i jego krewni siedzieli bez ruchu.

Czuło się, jak podziwiają i tęsknią, odczuwało się to coraz silniej i silniej, aż w końcu Mama Muminka przysunęła się trochę bliżej do Tatusia i szepnęła:

- Czy nie uważasz...

- Tak, ale jeżeli... - zawahał się Tatuś.

- Jednak - powiedział Muminek. - Jeżeli Wigilia się rozgniewa, to może będziemy mogli ukryć się na werandzie.

Po czym zwrócił się do leśnego stworzonka i powiedział:

- Proszę, to wszystko należy do was.

Leśne stworzonko nie mogło uwierzyć własnym uszom. Ostrożnie zbliżyło się do choinki, a za nim wszyscy jego krewni i przyjaciele, a sierść drżała im ze wzruszenia.

Nigdy jeszcze nie mieli własnej choinki.

- Teraz najlepiej jednak będzie, jeśli damy drapaka - powiedział Tatuś Muminka zaniepokojony.

Weszli szybko na werandę i natychmiast schowali się pod stołem.

Ale nic się nie stało.

Po chwili trwożnie wyrzeli przez okno.

Małe leśne stworzonka na dworze jadły, piły, otwierały paczki z prezentami i bawiły się jak jeszcze nigdy w życiu. W końcu wdrapały się na choinkę i wszędzie na gałęziach poprzyczepiały płonące świece.

- Ale na szczycie powinna jednak być duża gwiazda - powiedział stryj leśnego stworzonka.

- Tak uważasz? - odparło stworzonko, patrząc z namysłem na czerwoną, jedwabną różę Mamy Muminka.

- Co za różnica, skoro i tak wiadomo, o co chodzi.

- Róża miałyby być gwiazdą? - szepnęła Mama Muminka. - Przecież to niemożliwe!

Spojrzeli w górę na niebo, odległe i czarne, ale niewiarygodnie pełne gwiazd, tysiąc razy liczniejszych niż latem. A największa z nich wisiała prosto nad wierzchołkiem choinki.

- Jestem trochę śpiąca - powiedziała Mama Muminka.
- I nie mam już sił zastanawiać się nad tym, co to wszystko ma znaczyć. Ale wygląda na to, że wszystko idzie dobrze.

- W każdym razie nie boję się już Wigilii - powiedział Muminek. - Paszczak i Gapsa, i ciotka Paszczaka musieli to wszystko źle zrozumieć.

Potem położyli żółte rękawiczki Paszczaka na poręczy werandy, gdzie od razu mógł je dostrzec, i weszli do domu, żeby spać dalej w oczekiwaniu na wiosnę.



SPIS OPOWIADAŃ

Wiosenna piosenka.....	7
Straszna historia.....	25
O Filifionce, która wierzyła w katastrofy.....	44
Historia o ostatnim smoku na świecie.....	75
O Paszczaku, który kochał ciszę.....	96
Opowiadanie o niewidzialnym dziecku.....	126
Tajemnica Hatifnatów.....	149
Cedryk.....	179
Choinka	193

**Cykl książek o Muminkach
obejmuje:**

Małe trolle i duża powódź
Kometa nad Doliną Muminków
W Dolinie Muminków
Lato Muminków
Zima Muminków
Opowiadania z Doliny Muminków
Tatuś Muminka i morze
Pamiętniki Tatusia Muminka
Dolina Muminków w listopadzie



Tove Jansson

Tatuś Muminka
i morze



Teve Jansson

Pamiętniki

Tatusia Muminka



Tove Jansson

Dolina Muminków
w listopadzie



Tove Jansson

Małe trolle
i duża powódź







Wydawnictwo
NASZA KSIĘGARNIA
www.nk.com.pl

